



BIBLIOTEKA  
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ  
W GDANSKU

# ziemia

• ROK II • NR 6(8) • CZERWIEC 1957 • 5 ZŁ •





przedstawia sowy uszatki. „Upolował” je kamerą fotograficzną Janusz Czech (patrz reportaż na str. 15—17). Autorem rysunku jest Janusz Smólski.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:  
NA WYDMACH LĘBY  
FAWORY  
ZAGADKA GŁĘBIN  
KRAKOWSKIE ALPY

**WARUNKI  
PRENUMERATY**

Prenumeratę na III kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonowe, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych TYLKO DO 10 — MIESIĄCA POPRZEDZAJĄCEGO NOWY KWARTAŁ.

Warunki prenumeraty — kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo za zleceniem wysyłki za granicę w P.K.W.Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, tel. 864-84, wewn. 69 (nr konta PKO I-6-100 024). Prenumerata zagraniczna — kwartalnie 19,50 zł, półrocznie 39, rocznie 78 zł.

Poprzednie numery „ZIEMIA” nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu”, ul. Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.



— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIĘGIEL, red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red. działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571—04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596—76. Nakład 20.186 egz. Pap. rot. 70 g. Do składania 28 maja 1957 r. Podpisano do druku 28 czerwca 1957 r. Druk ukończono w lipcu 1957 r. Zam. 337/57. M-14

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE  
ul. Manifestu Lipcowego 19.

# CZY POLSKA ZAMIENI SIĘ W STEP ?

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI

Z trudem zbliżaliśmy się do końca dzisiejszego etapu. Wiatr zawodził, niósł tumany piasku i drobnego pyłu, siekł boleśnie po twarzy i rękach. Piasek zgrzytał w zębach, dostawał się pod powieki. Zła widoczność utrudniała orientację. Powoli wkraczaliśmy do miasta. Wszystkie domy od strony wiatru miały ściany żółtawe, zabarwione pyłem naniesionym tutaj przez wichry. To miasto nie leży bynajmniej w Azji ani wśród pustyń afrykańskich. To nasz polski Poznań.

Tego rodzaju piaszczyste burze są dziś w Wielkopolsce o wiele częstsze niż dawniej. Pociągają one za sobą poważne skutki gospodarcze. Suche wiatry wysuszają i tak skąpe zasoby wilgoci z gleby, zasypują czarnoziemy Kujaw i budzą wśród przyrodników i rolników duże zaniepokojenie. W ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat zauważono wśród wielkopolskiej fauny i flory pojawienie się elementów stepowych, pontyjskich.

Co jest właściwie powodem tego zjawiska i jak szeroki jest jego zasięg trudno pokrótce odpowiedzieć. — Prawdopodobnie działa tu zespół kilku różnych czynników. Geograficzne rozprzestrzenienie tego zjawiska nie jest w tej chwili dokładnie zbadane. Głównym powodem powolnego, lecz nieustannego zmieniania się Wielkopolski w step zdaje się być zanikanie wód przede wszystkim w Odrze, a także i w Wiśle. Dziś umiemy bardzo dokładnie mierzyć ilość opadu atmosferycznego w obszarze danego dorzecza. Potrafimy też zmierzyć, jakie parowanie zachodzi na tym obszarze, a ponadto nie nastęrcza większych trudności zmierzenie ilości niesionej przez rzekę wody. Otóż okazuje się, że z ilości wód opadowych całego dorzecza Odry lub Wisły tylko niespełna 24% odpływa do morza. Parowanie nie zabiera pozostałych 76%, gdzież więc część wody przepada? Oblicza się, że dla dorzecza Warty powyżej Poznania liczba ta daje rocznie

900 milionów metrów sześciennych wody. Te 900 milionów ton gdzieś ginie, gdyż ani nie paruje, ani nie odpływa do morza. Dla porównania warto wiedzieć, że odpływ Renu wynosi 52% ilości wód opadowych jego dorzecza, a Niemna — 34%. Czyżbyśmy więc byli szczególnie w tym względzie poszkodowani? Zdaje się że tak. Ubytek wody w naszych rzekach jest tak wielki, że na przykład Odra powyżej Wrocławia jest rzeką znacznie większą niż poniżej, choćby w okolicach Legnicy. Fakt ten dla roślinności ma nie małe znaczenie, a więc i dla rolnictwa, gdyż te zaginione ilości wody nie znajdują się ani w wodach gruntowych, ani na osiągalnej dla roślin głębokości. Nic dziwnego że w takich warunkach mogą się utrzymać tylko rośliny stepowe, które jednak nie ochraniają dostatecznie gleby i tak już suchej i umożliwiają tym samym jej wywiewanie przez wiatry.

Co jest powodem ginięcia wody, dziś jeszcze nie wiemy. Niektórzy sądzą, że lokalne parowanie jest większe, niż to wykazują stacje PIHM, że zagęszczenie tych stacji w niektórych rejonach mogłoby dać rozwiązanie tego zjawiska. Inni się z tym nie zgadzają i twierdzą, że szerokie polodowcowe pradoliny prowadzą w swych piaszczystych korytach na znacznych głębokościach wielkie ilości wód, czy wprost do morza, czy może przez niskie wododziały do Łaby, lub kto wie, może i do Dniestru lub Dniepru? Jeszcze inni sądzą, że stare dyslokacje skorupy ziemskiej tworzą w głębi szczeliny wypełnione okruchami skał, które chłoną wodę i odprowadzają ją w głąb na olbrzymie, nieznane nam głębokości. Jak się ta sprawa właściwie przedstawia — tego nikt dokładnie nie wie. Zresztą zanikanie wód miejscami na mniejszą, miejscami na większą skalę jest zjawiskiem światowym i to zarówno na południowej jak i na północnej półkuli. Przyczyn tego zjawiska mamy kilka.

Miniona epoka lodowa pokryła panczerem lodowca niemal cały nasz kraj i wiele innych krajów Europy północnej i spowodowała okres deszczów na pustyniach Afryki i Azji. Wiele z tych pustyń było niegdyś obszarami dużej kultury rolniczej. Wiemy przecież, że Libia była spichrzem starożytnego Egiptu, a pustynna Syria krajem o wysokiej cywilizacji. Gdy lodowiec pleistoceniowy ostatecznie cofnął się, czyli po prostu mówiąc stopniał, wielkie ilości wód roztopowych zamieniły nasz kraj w krainę jezior, olbrzymich rzek i bagien. Powoli jednak wody te wysychają a kraj nasz staje się coraz bardziej stepowy. Wysychanie pustyń afrykańskich i azjatyckich stepów zmusiło głodem tamtejsze plemiona do szukania nowych obszarów i stało się jedną z przyczyn wędrówek ludów, które pod koniec starożytności i we wczesnym średniowieczu tak swymi najazdami nękały Europę. Dziś tereny zajęte niegdyś przez lodowiec wysychają nadal, stawiając nas w coraz trudniejszym położeniu.

Wysychanie to odbywa się w dwojaki sposób. Rzeki wpadając do jezior zasypują je powoli. Jeziora zarastają roślinnością a z ich wolnej powierzchni paruje więcej wody, niż przyplywa. Zjawisko to powoduje wprawdzie zanikanie otwartych zbiorników wodnych, lecz nie obniża przynajmniej zwierciadła wód gruntowych. Natomiast ciągle pogłębianie dna rzek i rozmywanie odpływów z jezior powoduje ich spływanie i w rezultacie obniżenie zwierciadła wody, tak zbiorników otwartych jak i zwierciadła wód gruntowych. To drugie zjawisko stanowi bardzo groźne niebezpieczeństwo dla roślinności, a więc i dla gospodarki człowieka. Jest wysoce prawdopodobne, że tego rodzaju spuszczenie jeziora i przelanie się go na inne, niżej położone miejsce było powodem zatopienia słynnej biskupińskiej osady.

Działalność człowieka, świadomo-





Autor artykułu — 38-letni geograf i hydrograf, wykładowca PWSP w Krakowie — zajmuje się głównie badaniem działalności wód w przyrodzie. W jednym z następnych numerów zamieścimy jego uwagi o podziemnych rzekach w dorzeczu Kamiennej.

Kujawy. Czy uprawy zbóż nie przypominają stepów? Wielowiekowa kultura rolna jest między innymi powodem obniżania się poziomu wód gruntowych.

Fot. St. Aleksandrowicz.



nie czy nieświadomie, wpływa na zmianę klimatu. Przeważnie jednak ta zmiana nie jest dla człowieka korzystna. Wycinanie puszczy i zamienianie ich na orne pola wpłynęło wybitnie na przyspieszenie procesu stepowienia, bo przecież łąny zbóż są koniec końców stepami. Regulacja rzek, meliorowanie obszarów uprawnych, osuszanie bagien dało w rezultacie nieoczekiwane skut-

ki. Zwężone i wyprostowane rzeki o zwiększonej chyżości prądu, zaczęły pogłębiać swoje dna. Zmeliorowane pola obniżyły zwierciadła wód gruntowych. Wyszuszone bagna stały się nieużytkami i gorzej nawet — zmniejszyły zapas wód gruntowych. W rezultacie stanęliśmy wobec swoistej katastrofy: nie ma wody.

Dość niedawno zrodziła się

wśród ludzi świadomość, że woda jest drogocennym surowcem, co więcej surowcem o bardzo ograniczonej ilości, którego nie możemy eksploatować w nieograniczony sposób. W wielu wypadkach, szczególnie w Wielkopolsce stanęliśmy wobec dylematu, czy wodę dać dla żeglugi, czy dla przemysłu, czy też może dla rolnictwa, gdyż już nie potrafimy zaspokoić zapotrzebowania na

nią wszystkich tych trzech gałęzi gospodarki.

Jeśli będziecie kiedyś nad Gopłem, zwróćcie uwagę w okolicach Mysiej Wieży na wyschlą zatokę jeziora, porosłą szuwarem i zatorfioną. W innych miejscach jeziora zjawisko to nie jest tak wyraźne, ale wszędzie istnieje. Świadczy ono o obniżeniu poziomu wód w jeziorze. Co było jego powodem? Odpływ wody z Gopła



Pustynia Błędowska. Nie jest to bynajmniej pozostałość jakiegoś dawnego obszaru pustynnego, lecz skutek dewastacji lasów przez człowieka.

Fot. Wiesław Tomaszewicz.



jest związany z wybudowanym jeszcze przez Niemców przed pierwszą wojną światową kanałem Noteckim. Kanał usprawnił wprawdzie żeglugę w tym rejonie, niemniej wyrządził dotkliwą szkodę rolnictwu; tym dotkliwszą, że widoczną dopiero po kilkunastu latach. Jest to tylko jeden przykład, niemniej suma takich drobnych faktów w rezultacie spowodowała olbrzymie szkodliwe zmiany, których naprawa będzie bardzo trudna, uciążliwa i kosztowna. Przeciwna wyrośnięcie lasów ochronnych musimy czekać dziesiątki lat, a nie wszędzie lasy takie można sadzić. Trudno dziś znowu zakładać bagna i zamulać rzeki, aby powstrzymać odpływ wód, przez

zmianę uwilgotnienia gleb wpływając na zmianę roślinności, a w rezultacie i na zmianę klimatu w pożądanym dla nas kierunku. Świadome przeobrażenie przyrody jest rzeczą potrzebną, ale niezwykle trudną, gdyż mamy tu do czynienia z wielu czynnikami, z których nie wszystkie znamy lub znamy niedostatecznie.

Czy w takim razie Polska zamieni się w step? Przecież tak dużo dzisiaj się mówi o oceanizacji klimatu, której cechą są łagodne zimy i chłodne lata. Z drugiej strony bije się na alarm, że zamieniamy się w step, a więc formację klimatu kontynentalnego o mroźnych zimach i gorących latach. Gdzież tu jest w takim razie sens? Sprawa

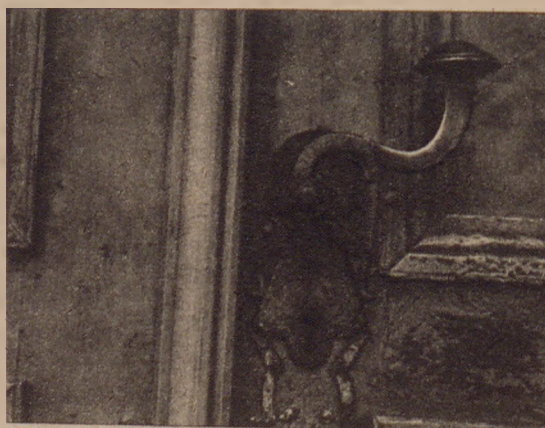
przedstawia się nieco inaczej. Stepowanie Polski, a ściślej mówiąc Wielkopolski, gdyż tam ono zaznacza się w sposób najdotkliwszy, jest spowodowane zmianami wywołanymi działalnością człowieka i niektórymi przyczynami geologicznymi — koniec końców zanikaniem wody. Tymczasem typowe pustynie Azji czy Afryki są zjawiskami przede wszystkim klimatycznymi. W małej mierze zależnymi od działalności człowieka. Zmiany powstałe w Wielkopolsce wpływają z kolei na klimat lokalny, przede wszystkim na ilość opadów, ich rozłożenie oraz zatrzymywanie wody w gruncie. Zalesiając kraj, powstrzymując odpływ wody w rzekach możemy zjawisko to

zahamować i wpłynąć na lokalne polepszenie klimatu. Wynika z powyższego, że obok stałego pogarszania się stosunków wodnych na świecie nasza nieopatrzna działalność walczy przyczyniła się do pogorszenia tych stosunków w Wielkopolsce! Dlatego dopiero przez umiejętną gospodarkę możemy wiele z tych błędów, popełnionych przez stulecia, naprawić i choć nie wrócimy do minionego już bezpowrotnie optimum, nie mniej wiele jest przed nami w tej sprawie do zrobienia.

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI



## Wykładka konięcpolska nie jest unikatem



W XVII-wiecznym zespole klasztornym bernardynek w Łowiczu stoi barokowy kościół, dzieło Tomasza Poncino z r. 1650. W głównych drzwiach posiada ów kościół niezwykłą ciekawostkę. Do napisania o niej sprowokował mnie p. A. H. ostatnim zdaniem swej notatki pt. „W Konięcpolu” („Ziemia” Nr 1), które brzmi: „Podobnego zresztą („tak przedziwnego okucia”) nie znaleziono dotychczas w innych regionach Polski”.

Otóż znaleziono. Niemniej jednak p. A. H. ma częściowo rację, bo wykładki figuralne przedstawiające postać ludzką są niezmierną rzadkością.

Świadczy o tym choćby dość obszerna i źródłowa praca Mieczysława Gładysza *Zdobnictwo metalowe na Śląsku*. Na 68 podanych wzorów żaden nie reprezentował typu figuralnego. Autor cały swój zbiór posegregował na 4 grupy według ogólnie stosowanych wzorów, a więc: geometryczne, roślinne, zwierzęce i antropomorficzne, lecz przykładu dla grupy ostatniej nie podał. Bo go nie posiadał. Natomiast uważał za wskazane uczynić dość charakterystyczną uwagę odnośnie do braku inwencji w tym kierunku, a m. in. tłumaczy to sobie „bliżej nieokreślonymi czynnikami psychicznymi” ręk-

dzielników. Wprawdzie praca Gładysza operuje przykładami ze Śląska, niemniej jednak warto i z tego wyciągnąć wnioski — wykładki figuralne z Konięcpola... i Łowicza są rzadkością nie lada!

Że akurat i w Łowiczu znalazł się taki rarytas łatwo wytłumaczyć. Otwórzmy symboliczną grubą księgę jego dziejów w rozdziałach, które dostatecznie wyjaśniają nam genezę nie byle jakich ślusarskich tradycji tego miasta. Pierwszy „rozdział” to *Fragmenty z dziejów dawnego Łowicza* dra Z. Przyrembla (1936), w którym m. in. czytamy:

„Andrzej Cellaziusz, uczone holenderski XVII w. porównuje Łowicz do Norymbergi dla wielkiej liczby kupców i zręcznych rzemieślników, którzy ten gród zamieszkiwali, inny zaś uczone-cudzoziemiec pisał o prymasowskim grodzie, że jest niejako zbrojownią całej Polski, gdyż nawet najliczniejsze wojsko można by uzbroić w tym mieście, które z mnogości i doskonałości wyrabianych w nim narzędzi wojennych szeroko jest znane”. Łatwo się domyśleć, iż istnieć tu musiała i uboczna produkcja ówczesnego przemysłu wojennego.

„Rozdział” drugi to *Łowicz w czasach Potopu* dra J. Wegnera, dający jako charakterystykę prosperity indeks Łowicza z przełomu XVI—XVII w., gdzie m. in. napisano że „kowale, ślusarze, kotlarze, konwisarze, miecznicy, nożownicy, ludwisarze, iglarze, framer-nicy, zegarmistrze i złotnicy” działali wówczas w tym mieście w liczbie pokażnej. Zaś R. Oczkowski w *Przechadzce po Łowiczu* pisze „...Na rogu ulicy Glinek a końskiego targu znaleziono ślady ludwisarni”.

Niewątpliwie podobnych tej wykładce okrucichów zdobnictwa kowalско-ślusarsko-ludwisarskiego było w Łowiczu немало. Wykruszyły się... jak o wiele cięższe zabytki, nie zawsze zależne od zęba czasu a częściej z woli ludzkiej tak kapryśnie ulegającej modzie.

Na przykład teraz moda na wykładki — z ebonitu. O figuralnych żelaznych nie ma mowy. Kto by się chciał bawić w wycinanki z blachy?

Na zakończenie skoro historię wykładki konięcpolskiej poprzedzono anegdotą, dla odmiany notatkę o wykładce łowickiej anegdotą skończę. Jeden z księży-administratorów, lubujący się w historii swego kościoła (dziś to się rzadziej zdarza), zwracając uwagę zwiedzającego na oryginalną wykładkę i nawiązując do nieco pikantnego jej kształtu takim oto komentarzem ją opatrzył: „Tu się życie zaczyna — i kończy, gdy nadużyjesz...”

Stefan Pągowski



Obok biwak w Rabsztynie koło Olkusza. Poniżej — zamek w Ogródzieńcu. Fotosy z krajoznawczego filmu krótkometrażowego „Szlakiem Orlich Gniazd”, przedstawiającego wędrowkę grupy uczniów przez Jurę Krakowsko-Wieluńską.



## FILMY KRAJOZNAWCZE

Adam Czarnowski

W marcowym numerze „Ziemi” dotknięto sprawy filmów krajoznawczych. Temat ciekawy, temat ważny, temat — któremu należy poświęcić więcej uwagi.

Od dłuższego czasu mam do czynienia z filmami krajoznawczymi i turystycznymi i to zarówno produkcji polskiej, jak i zagranicznej. Na podstawie tych doświadczeń muszę stwierdzić, że sytuacja w tej dziedzinie nie napawa na razie optymizmem.

Pragnęlibyśmy oglądać na ekranie ciekawie podane regiony kraju, interesujące momenty życia ludzkiego, żywą fabułę turystyczną. Poza tym potrzebne są filmy dydaktyczne, szkoleniowe — dla nowego narybku turystów, krajoznawców i dla szkół. Film winien silnie przemawiać nienaganną czystością obrazu, barwą, trafnym komentarzem i muzyką.

A jak jest dotąd? Oto filmy krajowe:

Wśród około 80 pozycji filmów krótkometrażowych o interesującej nas tematyce, produkcji amatorskiej i Filmu Polskiego, kilka zaledwie uznać można za zadowalające. Reszta, to filmy o złym poziomie technicznym i sceneryjnym. Większość jest filmami bezdźwiękowymi z nader skąpymi napisami! Tylko dwa filmy barwne! Treść tych filmów ogólnie: przestrzała, uboga w elementy krajoznawcze, pełna momentów nudnych i nic nie mówiących.

Aż wstyd bierze patrząc na te filmy, że autor scenariusza i reżyser nie pokazują rzeczy od strony piękna i wartości kulturalnej, nie potrafią wygrać atutów, którymi pochwalić się może ta, czy inna dzielnica naszego kraju.

Sytuacja ta ostatnio nieco się polepsza. Pojawiają się pierwsze jaskółki, że jednak można inaczej. Jako dowód należy tu wymienić pozycje Filmu Polskiego: „Pogodne lato”, „Kazimierz — miasto polskiego Odrodzenia”, „Dolina Prądnika”, „Śląsk”. Wśród amatorskich filmów zasługują na wzmiankę: „Skalna przestroga” i parę pozycji z ostatniego konkursu wąskiej taśmy, które może ujrzymy (w niewielkim niestety kręgu widzów) w roku przyszłym. Wymienione pozycje, to jednak kropla w morzu potrzeb. Wołamy o zrozumienie do głównego producenta — Filmu Polskiego, i o wzmocnienie wysiłków amatorów, którzy, niestety, borykają się z olbrzymimi trudnościami technicznymi.

A jak jest z filmami zagranicznymi?

Reprezentują je pozycje będące w posiadaniu większości placówek dyplomatycznych i kulturalnych znajdujących się w Polsce. Przede wszystkim uderza tu wysoki poziom techniczny. Wszystkie filmy są dźwiękowe, większość barwna. Z tematyką już gorzej. Nieliczne są na ogół tematy typu krajoznawczego. Filmy z komentarzem w

wersji polskiej zaliczyć można do wyjątków.

Na pierwszym miejscu postawić należy filmy czeskosłowackie (Czechosłowacki Ośrodek Kulturalny), a wśród nich rewelacyjny: „Kwiaty Tatr”. Film ten (barwny, długometrażowy) pokazuje nie tylko wspaniałe zdjęcia kwiatów, ale również krajobraz i zwierzęta, np. epizody życia kozic, świstaków, orłów. Poza tym w ogóle wachlarz tematyki jest szeroki.

Dobre filmy posiada również Węgierski Instytut Kulturalny. Ciekawe są pozycje pokazujące folklor.

Angielski „Travel Royal” uznać należy za film, dający najlepszy przekrój życia w tym kraju pejzażu i tradycji. Ciekawe są filmy egipskie np.: „5000 lat Egiptu”, francuskie: o wyprawach do grot alpejskich — doskonale pokazany temat i piękne udźwiękowanie.

Czy będziemy mogli oglądać większy wybór filmów zagranicznych i kiedy? Otóż mamy nadzieję na wymianę w tej dziedzinie. W Brukseli istnieje światowe archiwum interesujących nas filmów, jeżeli nasze pozycje (a jest na nie zapotrzebowanie) pójda do tego archiwum — dostaniemy na pewno filmy innych narodów. Ale... trzeba się mieć czym pochwalić! Mamy jednak nadzieję, że za pierwszymi jaskółkami udanych pozycji filmowych pójda szybko dalsze — jeszcze lepsze. Czekamy na nie z niecierpliwością.

# NIHIL NOVI SUB SOLE

P. BURCHARD J. GRZYBOWSKI

(DRUGA ROZMOWA)

— Poprzednia dysputa do niczego właściwie nie doprowadziła — rzekł Przyjaciół, gdy po miesiącu znów przyszedł do redakcyjnego pokoju. — Podyskutujmy więc teraz bardziej systematycznie. Aby wiedzieć, o czym się rozmawia, spróbujmy najpierw ustalić, czym jest to krajoznawstwo. Gotów jestem przedstawić wam najnowszy pogląd na tę sprawę, do którego niedawno przekonali mnie znajomi działacze.

— Słuchamy.

— Przyznacie chyba — ciągnął Przyjaciół, zasiadłszy wygodnie — że nic dla krajoznawcy nie jest tak przykre, jak widok stada turystów, którzy z czołem zlanym potem serdecznego wysiłku gnają za tropem kolorowych znaków, obojętni na wszystko, co ich otacza. Taka turystyka godna jest naprawdę potępienia — nie daje ludziom żadnych kulturalnych korzyści. Bezmądrość i ignorancja — oto cechy tej działalności, która nawet nie jest sportem, choć tylko na fizycznym wysiłku się zasadza.

— Dobrze — przerwaliśmy — ale miał pan mówić o krajoznawstwie?

— Otóż właśnie. W przeciwieństwie do tamtej ganiałiny — krajoznawstwo jest pouczającą i pożyteczną rozrywką. Krajoznawca dobrze wie dokąd pójdzie, zanim w teren wyruszy. Niczego potem nie mija obojętnie. Stąd wypływa konieczność dostarczania ludziom tak zwanej „treści krajoznawczej”. To jest właśnie podstawa krajoznawczej działalności.

— Któż ma tej „treści” dostarczać?

— Pośrednio — kierownicy i przewodnicy wycieczek. A bezpośrednio, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z indywidualnymi wycieczkami — literatura. A więc przewodniki, monografie krajoznawcze, różne albumy i oczywiście czasopisma.

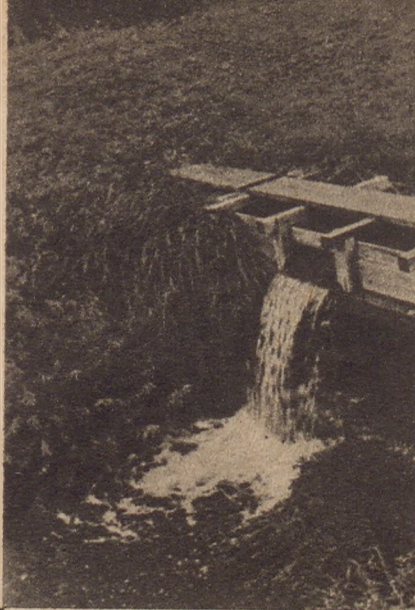
— Zdumiewający zwrot dokonał się w pańskich poglądach, Przyjaciółu. Gdybyśmy pana nie znali jako człowieka gruntownie wykształconego, moglibyśmy podejrzewać w panu obrońcę pozycji tzw. „krajoznawczych autorów”. Sprowadzenie krajoznawstwa do płytkiej tylko popularyzacji wydaje krajoznawczą literaturę na żer dyletantom. Mamy wtedy do czynienia z zakładem żywienia turystów przeżutą papką wiadomości popularnonaukowych, czerpanych z trzeciej ręki i często podejrzanej świeżości. Nikt z fachowców wówczas nic do takiej kuchni nie dostarczy ani nikt wybredniejszy nie będzie się w niej stołował. To, co

Ciąg dalszy na str. 19



# KRAINA STAWÓW

JAN WŁODEK



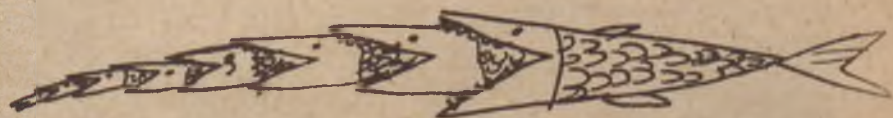
(obok) Jeden z upustów systemu nawadniania stawów.

Fot. J. Włodek.

(z lewej) Trzw. „odłów” ryb w stawie, z którego wypuszczono wodę.

Fot. J. Starmach.

(u dołu) Stawy Gieraltowskie, widok znad Olszowca na Romanowiec i Górny Podwieźnik.



Rys. A. Macedoński.



**N**a zachód od Krakowa, wzdłuż doliny Wisły, rozpościera się w jej górnym dorzeczu u stóp Beskidów Śląskiego i Małego bagnista nizina. Zna-na jest ona pod nazwą kotliny Oświęcimskiej. Stawy nadają zasadnicze piętno krajobrazowi tej części kraju. Od niepamiętnych czasów człowiek zajmuje się tutaj produkcją ryb w sztucznie zalewanych zbiornikach.

Pół kilometra od stacji Ry-czów, na linii kolejowej Ska-wina—Oświęcim, znajduje się pierwszy staw. Nazywa się „Kasztelan”. Rozpoczyna on nieprzerwane pasmo stawów wzdłuż niziny Wisły i jej głów-nych dopływów, tj. Białej, Soły i Skawy, lub wzdłuż sztucznie wykopanych młynówek, jak i bocznych strumieni spływają-cych do dopływów Wisły. W zasadzie począwszy od „Ka-sztelana” stawy ciągną się ku południowemu zachodowi. Koń-czą się na Śląsku Cieszyńskim w miejscowości Dębowiec koło Skoczowa. Długość Dębowiec—Kasztelan wynosi, mierzona w prostej linii — 60 kilome-trów.

Wisła płynie środkiem kotli-ny dwa razy w kierunku pół-nocnym i dwa razy w kierunku wschodnim. Najwięcej stawów leży na południe od niej. Na le-wym brzegu Wisły są to głów-

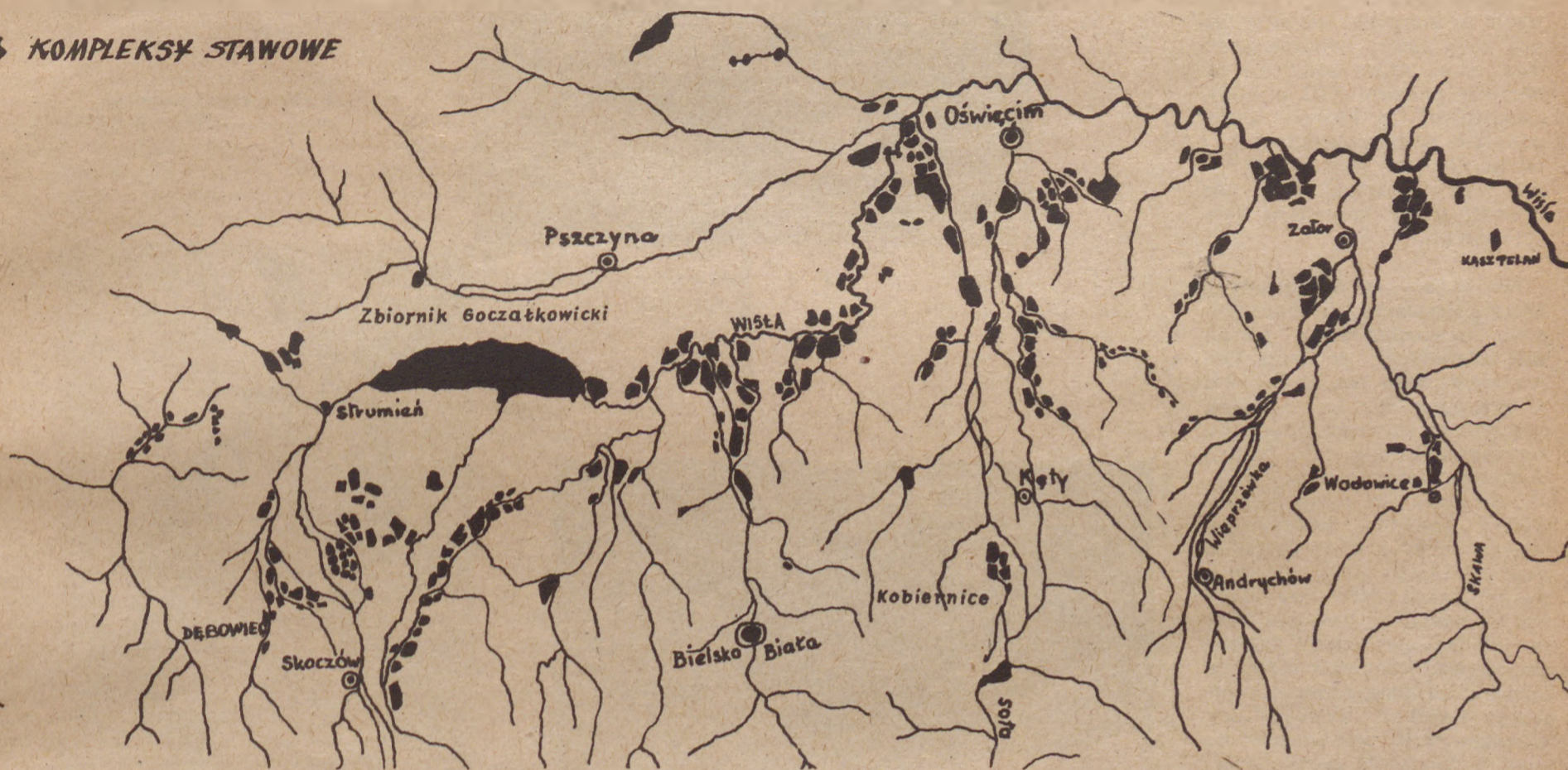
nie stawy powiatu pszczyń-skiego, z których największy to tzw. „jezioro Paprocańskie”. Najbardziej na południe wysu-wają się stawy: koło miasta Skoczowa, kompleks kobier-nicki za Kętami, leżący u pod-nóza Beskidu Małego w dolinie Soły (wiemy o nim, że istniał już w XVI w.) oraz kompleks tomicki tuż pod Wadowicami. Nowe sztuczne jezioro w Go-czałkowicach, największy sztuc-ny zbiornik w Polsce, w znacz-nym stopniu zmienia krajobraz. Przybyło bowiem wielkie roz-lewisko o powierzchni około 3 tys. hektarów. Tym samym zresztą zwiększyły się tu moż-liwości produkcji rybnej. Wed-lug szacunkowego tylko obli-czenia<sup>1</sup> stawy pokrywają około 12% powierzchni omawianego obszaru. Jeżeli włączymy w to obliczenie maksymalny zalew jeziora goczalkowickiego, to powierzchnia pozostająca pod wodą w okresie od kwietnia do połowy października wyniesie około 17%.

Co było powodem, że właśnie w kotlinie oświęcimskiej roz-winięło się gospodarstwo sta-wowe? Przede wszystkim wa-runki fizjograficzne i klima-tyczne. Główna przyczyna to bagnistość terenu, spowodowa-na wysokim poziomem wód gruntowych podchodzących tuż pod powierzchnię ziemi. Oko-



Gospodarstwo stawowe w dorzeczu górnej Wisły. Wielka czarna plama — to obszar maksymalnego zalewu sztucznego jeziora w Goczałkowicach.

## KOMPLEKSY STAWOWE



lice górskie Beskidu Śląskiego mają największe opady przeciętne w Polsce. Stąd obfitość wód. Łagodne pochylenie w kierunku Wisły ułatwia splanowanie wody do stawów. Nadrzeczne tereny nizinne nie nadają się do uprawy rolniczej w tym stopniu co sąsiadujące z nimi tereny pagórkowatych międzyrzeczy. Nie należą one, podobnie jak i część płaskowyżu rybnickiego, do krainy stawów, odgrywają jednak dużą rolę w gospodarce tego regionu. Woda, spływając z żyznych, pokrytych lessową glebą międzyrzeczy, unosi ze sobą liczne składniki pokarmowe. W takiej wodzie mogą się rozwijać podstawowe elementy pożywienia ryb: plankton roślinny i zwierzęcy.

Stawy występują zazwyczaj nie osobno, ale w całych kompleksach. Noszą one, podobnie jak i poszczególne stawy, swoje własne nazwy, takie jak: Przyręb, Wrotnów, Podbór, Bugaj itd. Nazwy stawów są bardzo różnego pochodzenia. Jedne, jak Gołysz, Chyliński, Pod Janikiem, Wyszni nawiązują do topografii terenu, inne jak np. Odymczok, Wydra, Parzuchy, Sitowiec wywodzą się z właściwości danego stawu. Nazwy Odymczok i Sitowiec bowiem oznaczają zarastanie stawu

specjalnymi gatunkami roślin, Parzuchy — cieplejsze miejsce. Niektóre z nazw, jak Kasztelan, Bonar, Farozy wskazują na założycieli lub posiadaczy stawów.

Południowo-zachodnia część kotliny należała zawsze do Śląska i dzieliła losy tej dzielnicy. Północno-wschodnia jej część należała od r. 1313 do 1564 do dwóch udzielnych piastowskich księstw: oświęcimskiego i później wydzielonego z niego księstwa zatorskiego. W r. 1564 sejm w Piotrkowie formalnie wcielił oba księstwa do województwa krakowskiego. Praktycznie nastąpiło to już z końcem XV wieku. W czasie rozbiorów Austriacy przyłączyli terytorium byłych księstw do krajów czeskich i dopiero w 1850 r. przywrócili je Galicji. W czasie drugiej wojny światowej tereny kotliny włączyli Niemcy do Reichu. Stały się one następnie w czasie okupacji widownią najstraszniejszego w dziejach ludobójstwa.

Jak i kiedy rozpoczęła się gospodarka stawowa w kotlinie oświęcimskiej? Tego nie wiemy. Istnieją pewne dane, pozwalające przypuszczać, że już około roku 900 istniały stawy w Rybniku. Miały one jednak nie tyle znaczenie gospodarcze, ile strategiczne, stosowano

wówczas zalewanie pewnych połaci kraju w punktach obronnych. Bliskość Bramy Morawskiej sprzyjała więc rozwojowi gospodarki stawowej, podobnie jak średniowieczne posty, powodujące znaczny popyt na ryby. Pierwsze źródłowe dane dotyczące historii gospodarstwa stawowego w kotlinie pochodzą z XVI wieku i odnoszą się do obiektów położonych koło Oświęcimia.

W XVI i XVII wieku obszar sztucznie zalewany wodą w kotlinie miał być dwa do trzech razy większy od dzisiejszego. Każdy, kto tam przebywał, może to zauważyć z łatwością. Drogi polne wiodą często po nieużytych gołbach, a ogromne połacie pól wokoło nich, dziś w uprawie rolniczej, świadczą o wielkości dawnych stawów. Przyjmując, że dziś zajmują one 12% powierzchni tego obszaru, należałoby przypuszczać, że w XVI i XVII wieku stawy pokrywały 25—35% powierzchni. Ilość ich wówczas była mniejsza niż dzisiaj, ale powierzchnią przewyższały znacznie dzisiejsze stawy. Na okres XVI i XVII wieku przypada też największy rozkwit gospodarki stawowej w dawnych czasach. Zjawisko zmniejszenia się powierzchni stawów od XVIII do połowy

XIX wieku z równoczesną ekstensyfikacją produkcji należałoby tłumaczyć wzrostem cen na produkty rolnicze, oraz parcelacją większej własności ziemskiej w XIX wieku.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat możemy obserwować dalsze zmniejszanie się powierzchni stawów z równoczesną intensyfikacją produkcji ryb w stawach, drogą nowoczesnych, opartych na doświadczeniach naukowych, zabiegów gospodarczych.

Osobliwością gospodarczą tego regionu jest chłopskie gospodarstwo stawowe. Istniało ono już w XVI wieku. Wspomina o nim bowiem szesnastowieczny pisarz Olbrycht Strumieński. Nie spotykamy go nigdzie indziej w Polsce tak powszechnie, jak na terenie dorzecza górnej Wisły. W miejscowości Bestwina koło Czechowic rozwinęła się nawet interesująca forma spontanicznej spółdzielczości wiejskiej. Oto we wspólnych zimochowach przechowuje się ryby zrzeszonych hodowców aż do wiosny.

Kiedy zaczęto hodować karpie w stawach i kto zaprowadził hodowlę karpia w Polsce, tego na pewno stwierdzić nie możemy. Istnieją dane, że hodowlę tę zapoczątkowały w Pol-



sce zakony. Stawy jednak istniały przed przyjściem zakonów do Polski.

Najstarsze stawy w kotlinie, o których posiadamy dane z zachowanych źródeł historycznych, to kompleks stawów Bugaj, koło Zatora. Istnieją tu do dziś takie, które założono jeszcze w połowie XIII w. Staw „Kasztelan”, o którym wspominałem, został założony w XIV wieku. Potężne jego groble sypani jeńcy tatarscy, wzięci do niewoli przez kasztelana tenczyńskiego.

Na podstawie zachowanych ksiąg gospodarczych dóbr księstwa oświęcimskiego, można dziś stwierdzić, że rolnictwo nie odgrywało tak dużej roli w gospodarstwie księstwa jak gospodarka stawowa. Warto by wykorzystać pod tym kątem widzenia nieopracowane, a zachowane do dziś księgi gospodarcze księstwa zatorskiego. Ważną funkcją dóbr księstwa oświęcimskiego było zaopatrywanie kuchni królewskiej w ryby. Gospodarka stawowa była tu jak na owe czasy bardzo postępową. Stosowano odrębne tarliska, odrębne stawy dla odrostu narybku oraz stawy główne, gdzie wpuszczano na wiosnę dwuletnie karpie zdadne do konsumpcji. System ten przypomina z grubsza dzisiejszą nowoczesną gospodarkę stawową.

W latach, gdy dwór królewski wyjeżdżał z Krakowa, starostowie królewscy ryby sprzedawali. W r. 1534 np. uzyskano ze sprzedaży ryb 1200 zł, co na owe czasy było bardzo znaczną sumą.

Z XVI wieku pochodzi najstarsze polskie dzieło o gospodarce stawowej, „O sprawie sypania, wymierzania i rybienia stawów” wspomnianego już poprzednio Olbrychta Strumińskiego, wydane w Krakowie w r. 1573. Dzieło to opuściło prasę w 26 lat po ukazaniu się pierwszej w ogóle na ten temat książki biskupa ołomunieckiego Dubraviusa „De piscinis et piscibus”. W piśmiennictwie europejskim XVI wieku książka Strumińskiego jest najlepszą pracą na temat gospodarki stawowej. Autor tak się wyraża o śląskim i morawskim gospodarstwie rybnym: „To ich największe gospodarstwo. Urodzaje słabe mają, we wodzie się wszystko płuczą jako czaple, z kabotów nigdy się nie zwłóczą, w skórzniach wszystko chodzą, bo wszystko o stawach i wodzie myślą”.

Książka Strumińskiego doczekała się jeszcze dwukrotnego wydania w XVII wieku ale właściwie jako plagiat, pod innym nazwiskiem, o lekko zmienionej treści. Możemy na podstawie tych książek przypuszczać, że już wówczas wybierano specjalne karpie do chowu, czyli że selekcji karpie w kotlinie oświęcimskiej doko-



1

1. Stawy Przyrębskie. Widok z grobli na staw Marynin Górny.  
Fot. J. Bogdanowski.

2



2. Okaz karpia polskiego.  
Fot. J. Starmach.



3

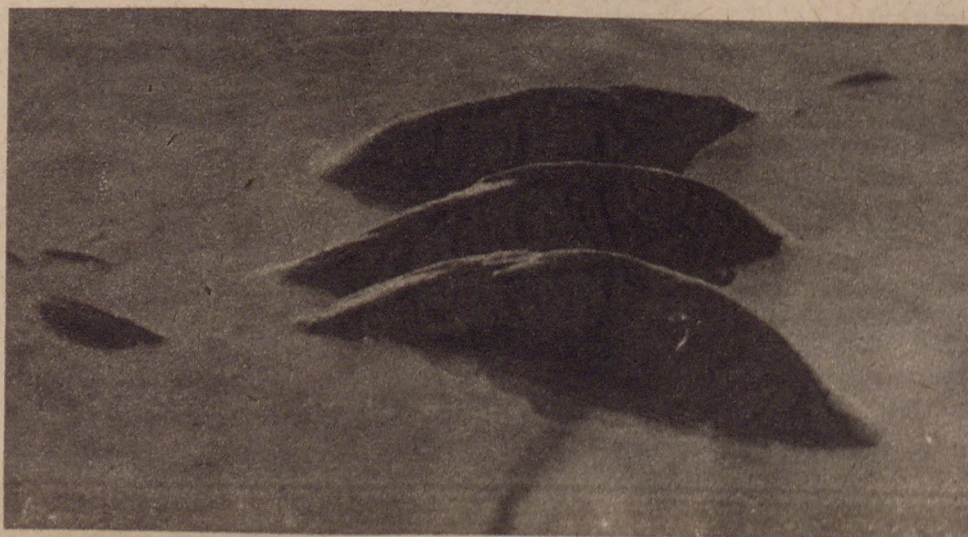
3. Okoń nazywany przez hodowców „wodnym chwastem”.  
Fot. J. Starmach



4

4. Szczupak ze stawów oświęcimskich.  
Fot. J. Starmach.

5



5. Grzbiety karpie w stawie, z którego spuszczone wódę przed odłowem.  
Fot. J. Włodek.



nywano prawdopodobnie od 400 lat z górą.

Nic też dziwnego, że na tym terenie wytworzyła się specjalna rasa karpia, tzw. polskich. Pierwszą wzmiankę o nich mamy w r. 1880, kiedy hodowca Adam Gasz z Kaniowa zdemonstrował je na międzynarodowej wystawie rolniczej w Berlinie. Karpie polskie uzyskały tam złote medale. Od tego momentu rasa karpia polskich zaczyna się rozprzestrzeniać po całym świecie. W roku 1882 zaczęto je hodować na Górnym Śląsku, stąd rozprzestrzeniły się po całym Niemczech. Karp polski trafił do Rosji a także i do innych krajów Europy i Ameryki Północnej. Osiągnął sławę światową. Rasa karpia polskiego rozprzestrzeniła się dzięki swym zaletom: szybkości wzrostu, odporności na choroby, dobrym użytkowaniem tak naturalnego jak i sztucznego pokarmu, wreszcie dużą ilością mięsa rybiego, jakie można z niej otrzymać. Według badań Zakładu Biologii Stawów PAN 60% przeciętnej wagi ciała karpia polskiego to mięso zdane do konsumpcji. Wytworzenie się tak doskonałej rasy nie byłoby do pomyslenia bez pracy szeregu pokoleń nad jej udoskonaleniem.

Na wiek XVIII i pierwszą połowę wieku XIX przypada w Polsce ogólny upadek gospodarki stawowej. Upada też i gospodarka stawów w kotlinie oświęcimskiej. Dobre rady Strumińskiego poszły w niepamięć. Gospodaruje się w stawach sposobem ekstensywnym, to znaczy odławia się staw najczęściej raz na pięć lat! W tym samym stawie odbywa się tarło, w tym samym stawie karpie zimują, w tym samym odrastają — póki nie osiągną wielkości konsumpcyjnej, do której dochodzą najwcześniej po pięciu latach.

W drugiej połowie XIX wieku zjawili się w kotlinie oświęcimskiej reformatorzy gospodarstwa stawowego. Ich reformy były tak dobre, że się przyjęły w całym szeregu krajów Europy, Niemczech, Rosji, Austrii, Czechach, Słowacji i innych, wszędzie tam, gdzie się hoduje karpie. Za twórcę nowoczesnego systemu hodowli karpia uważa się dzisiaj Tomasza Dubisza. Był on od r. 1869 kierownikiem gospodarstwa stawowej dóbr Habsburgów na Śląsku Cieszyńskim, tzw. komory cieszyńskiej. Dubisz pierwszy zastosował sztuczne tarliska, mające naśladować naturalne warunki rozrodu karpia. W czasie doświadczeń burza przerwała mu groblę tarlisk i przeniosła narybek (zwany wycierem) tylko co wyległy z ikry do

większego obok położonego stawu. Okazało się, że młode karpie wyrosły niespodziewanie dobrze, osiągnęły bowiem w jesieni wzrost taki, jaki by miały po dwóch, trzech latach w trakcie dotychczasowej ekstensywnej gospodarki. Dubisz wykorzystał to zjawisko i stworzył nowoczesny system gospodarki stawowej. Polega on na dwukrotnym przenoszeniu, czyli tzw. przesadzaniu narybku karpia do coraz większych stawów w pierwszym roku hodowli. W następnych dwóch latach przenosi się ryby do innych stawów. W ten sposób już po trzech latach uzyskujemy ryby zdatne do konsumpcji. Obecnie wychów ryby systemem Dubisza trwa przeważnie dwa lata.

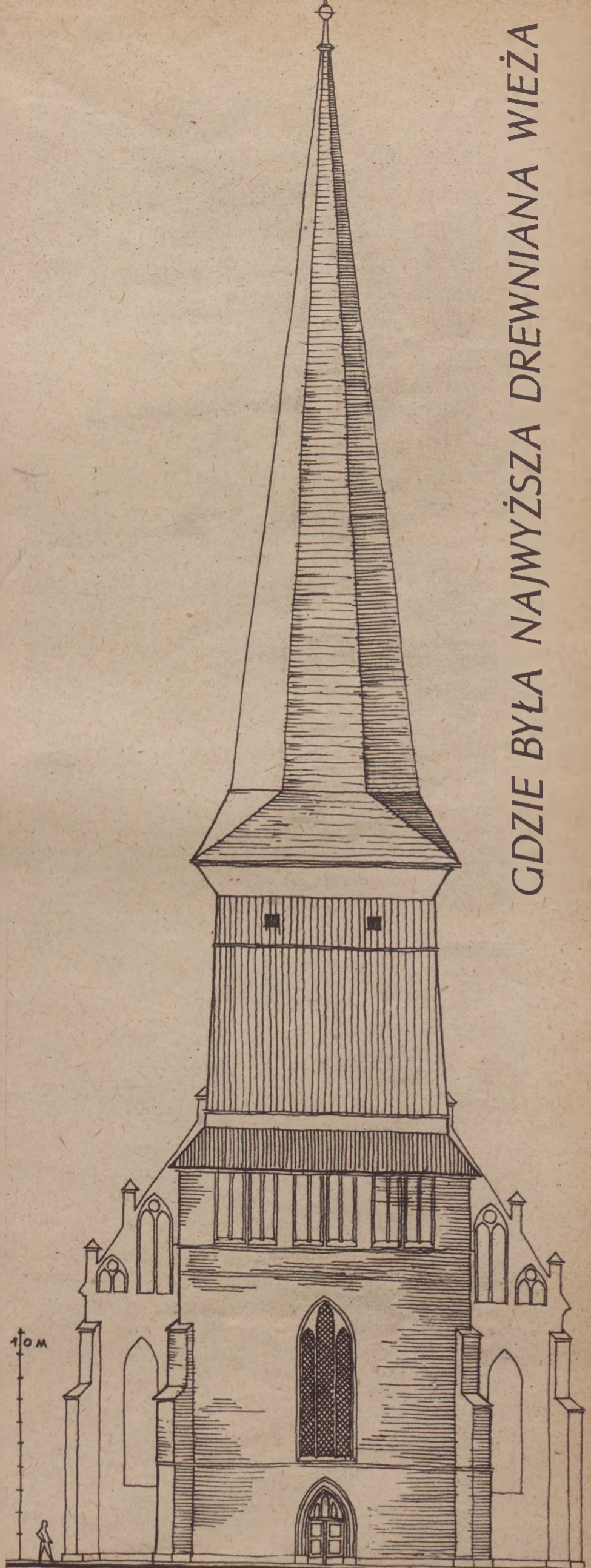
System ten przyjął się najpierw w swej ojczyźnie. Obecnie nie jest do pomyslenia w naszej strefie klimatycznej gospodarstwo stawowe nie pracujące tym systemem. Jego twórca, mimo że wzbogacił wielu ludzi, sam, jak niejedyn wielki odkrywca, umarł w 1888 roku w nędzy i całkowitym zapomnieniu.

O. Rudziński, A. Gostkowski, M. Naimski, A. Gasz to hodowcy karpia polskiego i propagatorzy nowoczesnego systemu gospodarstwa stawowej Dubisza. Do A. Gostkowskiego zjeżdża się na naukę nowoczesnej gospodarstwa stawowej wiele osób ze świata rybackiego z Rosji, Francji i Niemiec. Naimski „stawia na nogi” w latach siedemdziesiątych XIX wieku zacołane gospodarstwo stawowe w Zatorze.

Jak dotychczas biologia życia karpia polskiego nie jest dostatecznie poznana, mimo, że zdobył on tak wielką sławę w Europie i na całym świecie. Dziś na terenie „krajiny stawów” istnieją dwa ośrodki badań naukowych. Gospodarstwa zatorskie należą do Instytutu Zootechniki. Przerwana przez wybuch drugiej wojny światowej hodowla karpia polskiego podjęta została dopiero po piętnastu latach przez Zakład Biologii Stawów Polskiej Akademii Nauk. Gospodarstwa doświadczalne PAN to drugi ośrodek badawczy. Leżą one w południowo-zachodniej części kotliny, w okolicy, gdzie pracował Dubisz i skąd się wywodzi nowoczesny system gospodarstwa stawowej.

Jan M. Włodek

<sup>1</sup> Nie mamy właściwie — z wyjątkiem jednej, z r. 1928 — opublikowanych statystyk powierzchni zajętej pod stawy w Polsce.



GDZIE BYŁA NAJWYŻSZA DREWNIANA WIEŻA





Ze wzgórz Kniei Bukowej widać wysoką iglicę nad płaską plamą miasteczka Dąbie Szczecińskie. Podobnie i z okien wagonu obrazowi miasta, towarzyszy ten sam widok — górującej nad nim kościelnej wieży. Dziś jest to banalna ceglana wieża w neogotyckim stylu, niczym nie wyróżniająca się specjalnie spośród wielu tego typu wież na Ziemiach Odzyskanych. Ale nie tak dawno, bo jeszcze niespełna 100 lat temu na jej miejscu wznosiła się ogromna drewniana dzwonnica, prawdziwa chluba dawnej pomorskiej ciosiolki.

Wraz z ceglana podmurówką liczyła 70,5 m wysokości. Byłaby niewątpliwie najwyższą drewnianą wieżą w Polsce. Niestety — w r. 1863 spłonęła. Pozostała z niej do dziś tylko ceglana, go-

tycka podbudowa. W parę lat po pożarze wymurowano na niej nową wieżę, nieco wyższą — 75,6 m. Ta właśnie istnieje do dziś.

Jak jednak wyglądała tamta, drewniana? Na szczęście zachował się jej rysunek: masywna ceglana podmurówka, zdobna gotyckim portalem, laskowanymi oknami i rzędem blend. Na niej drewniana wieża, o ścianach lekko pochyłych. Nad tym wszystkim — smukła iglica.

Jeśliby się nie liczyło nawet murywanej podbudowy, to i tak wysokość samej drewnianej części wynosiła 56 metrów. Rozmiary wieży z Dąbia najlepiej uzmysłowi porównanie jej z innymi polskimi dzwonicami z drewna, a także z krakowską Wieżą Mariacką.

Gdy spojrzymy na rysunek, od razu

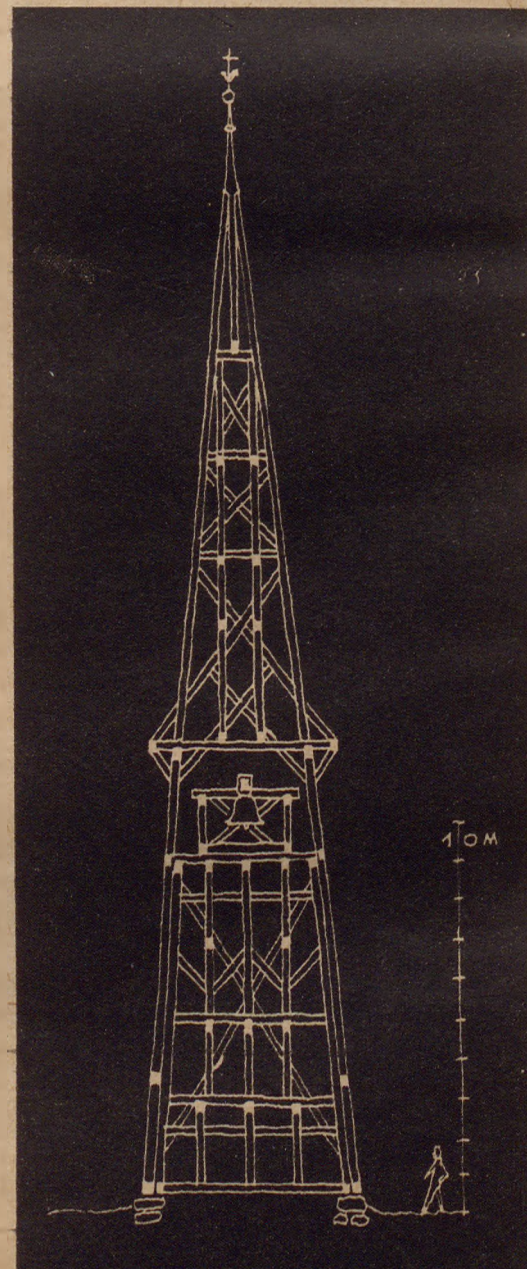
# NAJWYŻSZA DREWNIANA WIEŻA

*(na stronie poprzedniej)  
Tak wyglądała dawna drewniana wieża przy kościele Mariackim w Dąbiu Szczecińskim, wg rysunku H. Lemckiego.*

*(z lewej) Wieża kościoła w Cerkwicy, podobna do dawnej wieży kościoła w Dąbiu Szczecińskim.*

*(z prawej) Typowa konstrukcja zachodniopomorskiej drewnianej dzwonnicy kościelnej, wieża w Kobylance, dziś już nie istniejąca.*

*Zdjęcie i rysunki autora artykułu.*

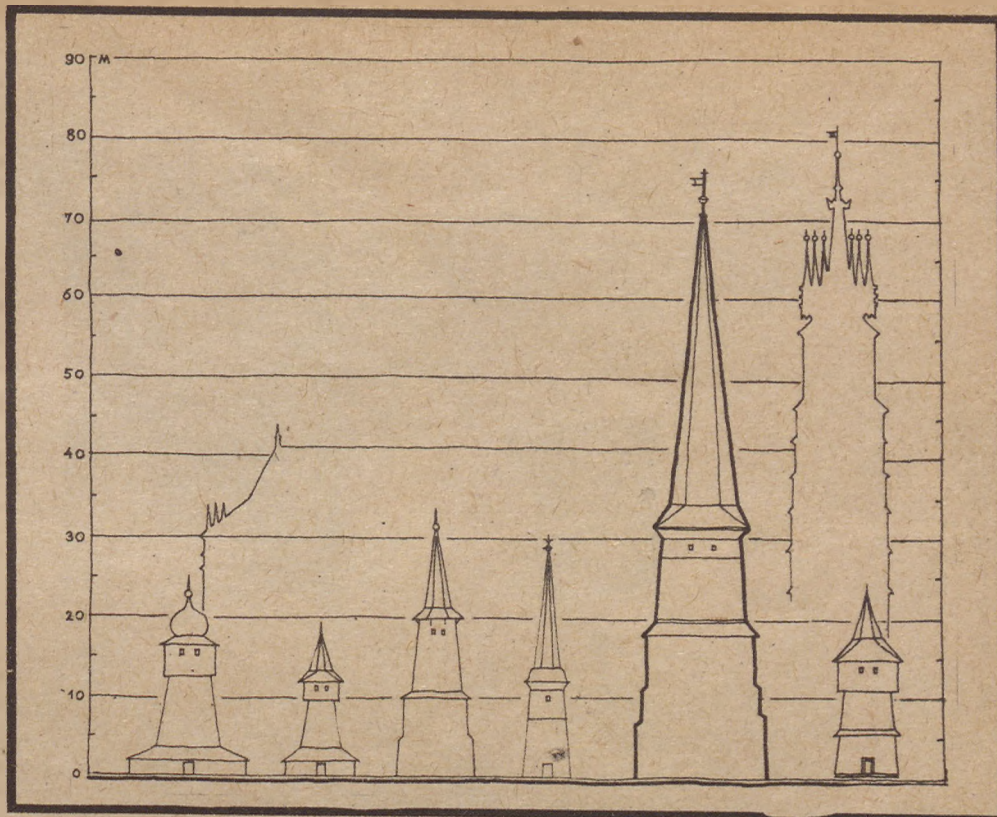




nasuwa się uwaga, że budowniczy musiał być znakomitym mistrzem. O wieźbie brak niestety wiadomości. Możemy tylko spróbować ją odtworzyć na podstawie analogii. Dzwonnica należała do typu zachodnio-pomorskiego. Cechuje ją więc smukłość, brak izbicy, niezwykła wysokość iglicy i charakterystyczny gzyms. Pochyle, obite deskami ściany świadczą o słupowej konstrukcji. Najwyższa z zachodnio-pomorskich dzwonnicy, której konstrukcja jest znana, to drewniana wieża w Kobylance (pow. gryfiński). Ta jednak miała (spłonęła przed wojną) tylko 30 metrów wysokości. Jednak nawet przy tym skromnym wymiarze wieźba jej stanowi prawdziwy las słupów, tramów, zastrzałów. Zapewne zasada konstrukcji wieży w Dąbiu była podobna. Lepszego zresztą obiektu porównawczego nie mamy — dziś nie ma już tak wysokich wież drewnianych nie tylko na Pomorzu, ale i w całej Polsce.

Korpus dzwonnicy tworzyły lekko zbiegające się ku górze słupy związane poprzecznymi tramami i usztywnione „krzyżami św. Andrzeja”. W to wbudowano niemal niezależną, wspartą na osobnej serii słupów podbudowę pod dzwony. Całość wstawiono głęboko w podbudowę murowaną i nakryto 38 metrową iglicą. Stanowiła ona ostrosłup dołem czworoboczny, jak wieża, górą przechodzący w ośmiobok. W Kobylance i szeregu innych dzwonnicy konstrukcja podobnego hełmu opierała się na pełnym wieżarce zestawionym z 4 stoliców. Na nim dopiero stał „król”. Można przypuszczać, że podobnie było i w Dąbiu. Tu jednak ze względu na znaczną wysokość, prawdopodobnie pełne, odpowiednio wzmoc-

To zestawienie kilku drewnianych wież daje w porównaniu z sylwetką kościoła Mariackiego w Krakowie pojęcie o wysokości dzwonnicy w Dąbiu. Od lewej: wieża w Lachowicach (pow. żywiecki), w Dębnie na Podhalu, w Cerkwicy (pow. gryfiński), w Kobylance (pow. gryfiński), w Dąbiu Szczecińskim i w Poniszowicach (pow. gliwicki).



nione wieżary ustawiono jeden nad drugim, coraz mniejsze i „król” wyrastał dopiero z najwyższego.

Ważnym szczegółem konstrukcyjnym było połączenie korpusu dzwonnicy z iglicą, główne bowiem niebezpieczeństwo dla tak wysokiej budowli stanowił wiatr. Dużą rolę w zmniejszeniu ogromu jego naporu odgrywał kształt iglicy. Nie była ona przecież kwadratowa jak korpus wieży, lecz ośmioboczna, a więc rzec można, bardziej „opływowa”. Mimo to jednak niebezpieczeństwo zerwania hełmu było duże. Dlate-

go połączono go z wieżą za pomocą skośnych zastrzałów — „mieczy” — które zasłonięto deskami, tworząc jakby prosty gzyms. Podobne urządzenie konstrukcyjne zastosowano w Kobylance i innych pomorskich dzwonnicych.

Nie wiemy kiedy zbudowano wieżę w Dąbiu. Swym typem łączy się ona z głębokim średniowieczem, być może jednak iż powstała później, po wielkim pożarze miasta w 1592 roku. Świadczyłyby o tym przerwane blendy pod okapem, dowodzące, że wieża była — lub miała być — wyższa. W każ-

dym razie to właśnie chyba tę wieżę przedstawił Lubin na swym sztychu w roku 1617.

Kiedy idąc ulicami Dąbia stajemy przed kościołem nad którym na gotyckim cokole wznosi się nowa ceglana nadbudowa, mimo woli przychodzi nam myśl: jakaż szkoda, że po pożarze nikt nie potrafił odbudować drewnianej dzwonnicy, że wspaniałe dzieło pomorskiego ciesielstwa zastąpił neogotycki banal.

JANUSZ BOGDANOWSKI

W numerze 1 „Ziemi” na str. 24 w artykule „Nowotarskie historie” zreprodukowany został widok, który objaśniony jest jako „Nowy Targ wg fantazyjnego miedziorytu J. Fischera z ok. 1840”.

Już z samego rzutu oka każdy znający choć trochę Tatry i dawne ich ryciny widzi, że nie są to Tatry od Nowego Targu, ale Tatry Spiskie od Kieżmarku: doskonale widać (od lewej) Sławkowski Szczyt, Dolinę Staroleśną przedzieloną grzędami Pośredniej Grani od Doliny Zimnej Wody (Pięciu Stawów Spiskich), z tyłu tej doliny Lodowy, następnie Łomnicę ze świetnie zarysowanym kotłem Kamiennego Stawu, Kieżmarski a następnie w tle Bielskie Tatry. Wystarczy porównać tę rycinę z widokami Tatr ze spiskiej strony ogłaszanych tyle razy (choćby w artykule Szaflarskiego w „Wierchach” 1935), aby przekonać się o błędzie przypisywania temu widokowi obrazu Tatr z Nowego Targu. Ale poza samym ukształtowaniem gór na tej rycinie, jest coś innego co nas przekonuje, że błędne jest określanie jej jako „fantazyjnego” widoku z Nowego Targu: jest nim podpis pod tą ryciną. Nie jest to bowiem żadna osobna rycina ale ilustracja do pewnej książki, gdzie znajduje się dokładne objaśnienie, że widok ten przedstawia Tatry od Kieżmarku. Rycina nie może więc pochodzić z r. 1840, ale datą wydania tej książki jest początek XIX wieku, wycieczka w Tatry spiskie tam opisywana odbyła się w r. 1804.

prof. dr Jan Reychman  
Warszawa

## LISTY



Rys. S. Hennig.

## TRĄBA POWIETRZNA I ZORZA POLARNA

Jako miłośnik przyrody interesuję się w szczególności meteorologią optyczną. O zjawisku Brockenu wiele czytałem, ale zjawiska tego nie miałem możliwości zaobserwować, bo stale mieszkam na niżu. W naszej literaturze poza Mozaiką Tatrzańską nie spotkałem się z taką fotografią — pisze p. Jan Kanarek z Dębina, wyrażając zadowolenie

z powodu zamieszczenia w marcowym numerze ZIEMI notatki „Spotkanie z własnym cieniem”. Dalej czytelnik nasz proponuje, aby redakcja nie poprzestała na tym, lecz kontynuowała publikację zdjęć różnych zjawisk atmosferycznych: mam tu na myśli takie zjawiska, jak tęcza, halo, miraż, błyskawica, trąba powietrzna, zorza polarna, wiatr

halny itp. Sądę, że członkowie PTTK posiadają wiele ciekawych zdjęć tego rodzaju.

Skoro okaże się, że nie tylko posiadają, ale zechcą nam je nadesłać, to chętnie będziemy je zamieszczać. Jak się bowiem okazało — meteorologia optyczna budzi u nas znacznie większe zainteresowanie, niż się można było spodziewać.



# OKNO NA PO- DWÓRZE



MARIA LECHOWSKA

**P**iszę o kamienicy stojącej w samym centrum Krakowa przy jednej z najświeższych ulic. Do kin, teatrów, Filharmonii, do Domu Kultury, na uniwersytet i do wszelkiego rodzaju czytelnicy — jest stąd niedaleko.

Kamienica ta jest rozległą budowlą, posiadającą trzy dwupiętrowe oficyny. Z gwarnej ulicy wchodzi się przez długą, mroczną sień na pierwsze podwórze. W kamienicy są dwa podwórza. Jedno — ciemne i wąskie, drugie większe, na którym co roku opodal olbrzymiego śmietnika rozkwita samotna lipa. Wokół tego śmietnika niezależnie od pory roku bawią się skąpo ubrane, brudne i krzykliwe dzieci. Kopią piłkę, huśtają się na stojącym pośrodku trzepaku, bawią w gonitwę i chowanego. Ta ostatnia zwłaszcza zabawa dostarcza im wiele emocji, gdyż zakamarków jest tutaj dużo. Od lat do „wystukiwania” służy to samo wybrane miejsce. Jest nim murek koło kanału.

Oficyny gęsto zamieszkuje typowa ludność uboższych dzielnic wielkiego miasta. Robotnicy, drobni handlarze i przekupnie, właściciele niewielkich war-

sztatów rzemieślniczych. Mieszkania w których żyją, wyglądają rozmaicie. Często są to małe, pojedyncze izby bez okien, gdzie światło dzienne wnika przez drzwi wychodzące na korytarz. Czasem są nimi duże, zimne, wilgotne pokoje, względnie małe jak gniazdka — „ciupki”, wychodzące wprost na długie drewniane ganki.

Wszyscy znają się od dawna. Rok zameldowania niejednej z mieszkających tu rodzin sięga dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia. Kamienica żyje własnym życiem małej społeczności. Sprawy ważne rozstrzygają wspólnie wszyscy lokatorzy. Gdy na przykład trzeba było zdecydować, w którym miejscu ma stanąć śmietnik — zwołano na podwórzu wiec. Wszelkie problemy i zdarzenia komentuje się tu wspólnie, przedstawiając je nieraz w dość szczególnym świetle.

O każdej śmierci wiadomo z góry, zawsze są bowiem jakieś tajemne znaki, jakieś sygnały zbliżającego się końca. To białe, bielutki jak śnieg kot prze-



biega pod nogami i wpada do mieszkania chorego, to znów znajdzie się ktoś, komu — na tydzień przed zgonem — zdawało się że widzi trumnę wynoszoną z mieszkania zmarłego. Często tłumaczy się tu sny. I tak wiadomo, że jeśli się śnią zęby, biała pościel, czysta woda — to śmierć. Jeżeli krew — to miłość. Małe dzieci oznaczają zmartwienie, ciastka lub jajka — plotki, wszy — pieniądze. Niemalą wagę przykładano się do „kabały”, którą się „stawia” tylko w piątki i we wtorki „aby się sprawdziło”. Z przejściem potem ostrzega się swych bliskich: „uważaj, będziesz miał kłopoty — tak stało w kartach”. Innym znów razem domyślnie spogląda się na sąsiadkę, ze strony której należy spodziewać się obmowy — jak ostrzegła kabała. Kot przebiegający drogę i tu jest

ciągną sąsiadki ku wałom Wisły, gdzie w przedziwnych strojach plażowych rozsiadają się na rzadkiej, spalonej słońcem trawie. Długie zimowe wieczory spędza się przy „zechyku”, przy którym wre zacięta walka o 5 groszy. Na tego rodzaju towarzyskich zebraniach odbywanych w różnych okolicznościach istnieją doskonale warunki do zwierzeń i porad. Toteż życzliwej porady zasięga się i udziela niemal w każdym wypadku, czy chodzi tu o ugotowanie barszczu, czy o najlepszy sposób wychowywania dzieci, czy w końcu o skuteczne leczenie takiej czy innej choroby. I tak ponoć doskonałym sposobem leczenia spuchniętych nóg są okłady z własnego moczu. Natomiast kwestia leczenia nagniotków jest rzeczą sporną: jedni radzą ścierać je pumeksem,



ZDJĘCIA W. PLEWIŃSKI

uosobieniem niepowodzenia, ba, nawet nieszczęścia, jeżeli przebiegnie ci drogę ze strony lewej ku prawej. Niepowodzenie zagraża ci również, jeżeli zapomnisz czegoś w domu, a przekroczyłeś już próg mieszkania. Nie należy się wówczas za nic wracać. Dlatego niejednokrotnie na klatce schodowej słychać wołanie: „Józiu! Podaj mi klucze.” Gorzej jeżeli nie ma nikogo w mieszkaniu. Wówczas zmuszona do powrotu po zapomniany przedmiot osoba chodzi przez cały dzień nachmurzona w oczekiwaniu przykrości. Dla jednej z mieszkank kamienicy złym znakiem jest spotkanie pewnej nieżyczliwej i zazdrosnej kobiety, gorzej jeszcze, jeżeli ta kobieta niesie próżne bańki, kosze lub wiadra. Zazdrośnica bowiem potrafi „zauroczyć złym spojrzeniem”, które może spowodować chorobę. Nie należy także podnosić znalezionej guzika — jest on bowiem symbolem biedy. Nieszczęście i biedę wreszcie może również sprowadzić na dom dźwięk kluczy — potrząsanych bez powodu. Za żadne skarby nie wolno ubijać interesu w poniedziałek. Nie powiedzie się. Najlepiej do załatwiania wszelkich spraw nadają się piątek i sobota. Szcześnie przyniosą: rozbity talerz lub szklanka, znaleziony grosik, na który należy chuchnąć, no i oczywiście spotkany kominiarz. Kobieta, jeśli przypadkiem ukuje się igłą w palec — również powinna się cieszyć. W tym dniu bowiem lub najdalej w następnym spodoba się mężczyźnie. Podobnie jak nadchodząca śmierć tak i zbliżający się goście zwiastują swe przybycie mieszkańcom kamienicy rozmaitymi znakami, takimi jak myjący się kot czy wypadająca z pieca iskra. Upadająca łyżka oznajmia przybycie gościa głodnego, a nóż — mężczyzny. Wreszcie swędząca prawa dłoń niechybnie zapowiada powitanie z niespodziewanym przybyszem, gdy tymczasem swędzenie lewej budzi nadzieję na rychłe otrzymanie pieniędzy.

Obok wiary w te na ogół popularne przesady, o których wprawdzie się mówi, ale zwykle z pobłażliwym uśmiechem, w tej starej, stojącej w centrum wielkiego miasta kamienicy, zdarzają się — aczkolwiek rzadziej — wypadki autentycznych praktyk magicznych. Bo i jakże inaczej nazwiemy fakt przebijania szpilkami fotografii osoby nienawistnej z życzeniem, aby ją spotkało nieszczęście? Czasami do praktyk tych używa się pośrednictwa świętych. Oto np. jedna z mieszkank, której kota przejechał samochód oświadczyła że „wykupi wszystkie świece w mieście” i da św. Antoniemu z prośbą, by morderca kota „skapiał jak te świece”.

Bujnie kwitnie życie towarzyskie kamienicy. Na uroczystości takie jak wesele któregoś z lokatorów czy lokatorek dekoruje się dom i jego sienie zielenią i robi tryumfalne bramy, na których kolorowe litery głoszą „SZĘŚĆ BOŻE MŁODEJ PAŹE”. Młodzi witani są chlebem i solą i przyjmują życzenia od stojących w szpalerze sąsiadów. Co tydzień, w każdy czwartek pewna grupa sąsiadek zwołuje się i gremialnie wyrusza do „parówki”. Latem sznurem





inni — radykalnie ścinać brzytwą. W wypadku jakichś przypadłości płucnych — należy natychmiast po zdarciu z zabitego kota skóry przylepić ją do pleców chorego i trzymać tak długo, dopóki sama, wyschnięta, nie odpadnie. Ponadto dobrze jest popijać psi smalec, również skuteczny i powszechnie znany lek. Ale najwięcej chorób leczy się wszelkimi ziołami, toteż co pracowitsza pani domu z każdego spaceru przynosi najrozmaitsze zioła i korzenie, które później przez cały rok leżą w papierowych torbach na piecu.

Wielką atrakcją zarówno dla dzieci jak i dla dorosłych bywa przyjsię na podwórze domu muzykantów. Datki sypią się wtedy hojnie, a dzieci zbierają zrzucane z pięter oficyn, zawinięte w kawałki papieru pieniądze i same wsuwają je do kieszeni artystów, by ci nie przerywali koncertu. We wspomnieniach co starszych mieszkańców żyją jeszcze dawni muzykanci, nierozłączna para — Michał i Treter. Byli oni niegdyś częstymi i mile widzianymi gośćmi na podwórzu. Sztukę swoją cenili wysoko i obruszali się na zbyt małe datki. Jeszcze za czasów okupacji grali czasem pod figurą Matki Boskiej. Nie brali wówczas ani grosza twierdząc, że „nie dla ludzi grają”. Podobno pod koniec wojny umarł jeden, a w niedługim czasie po nim i drugi. Wesółkiem podwórkowym był niespełna rozumu Cezar. Rymował on wiersze w większości nieprzyzwoite, do których komponowaną melodię wygrywał na akordeonie. Kiedy Cezar wchodził na podwórze matki zamykały dzieci w mieszkaniach, a same powiększały liczną i pełną aplauzu publiczność. I Cezara los nie oszczędził w czasie okupacji. Podobno zastrzelili go gestapowcy za śpiewanie antyniemieckich piosenek. Dziś na podwórzu z rzadka zachodzi jeszcze znana od czasów przedwojennych „baba”, która chrypliwym głosem wyśpiewuje refren jakiejś popularnej piosenki. Po zakończeniu występu „babę” zaprasza i gości jedna z seniorek kamienicy.

Tak z roku na rok w centrum wielkiego miasta, o krok od „oficjalnych” ośrodków kultury żyje swym własnym, dziwnym, a czasem egzotycznym życiem społeczeństwo olbrzymiej kamienicy, gdzie na wilgotnym podwórzu bawią się małe, hałaśliwe dzieci.



## BŁOTNE LEJKI

Zima jest w Polsce chyba najlepszym okresem do prowadzenia badań jaskiniowych. Nic więc dziwnego, że właśnie w grudniu ubiegłego roku wraz z innymi osobami brałem udział w kolejnej wycieczce do jaskini Miętusiej w Tatrach.

Salę „błotnych lejków” odkryto w kwietniu ub. r., przed korytarzami zalanymi wodą. Zaskoczyła nas niezwykła oryginalność występujących tam form błotnych. Dziwne i niezwykle rzadko spotykane są te błotne lejki. Występują one w jaskini Miętusiej pojedynczo lub w pewnych zespołach. Na dnie owej sali (wymiary 10 na 4 m) naliczyliśmy ich prawie pięćdziesiąt. Nad nimi, w stropie, dostrzeżliśmy cały szereg skalnych występów, z których spadały krople wody. Dzięki temu podziemnemu deszczowi w błotnistym namulisku powstają niewielkie zagłębienia. Okresowo namulisko zostaje przykryte grubym płaszczem wodnym. Po jego opadnięciu formy wklęsłe, utworzone dawniej przez spadające krople pozostają nadal napełnione wodą. Woda wsiąka bardzo wolno w błoto, nadając ściankom zagłębień oryginalne formy. Procesy te odbywają się od dawna. Wskazuje na to budowa Sali Błotnych Lejków, która częściowo ma charakter zawaliskowy.

Nigdzie w znanej mi zagranicznej literaturze speleologicznej nie natrafiłem na ilustracje, które by przedstawiały błotne lejki o tak oryginalnych formach jak te w jaskini Miętusiej. Reprodukowane zdjęcie ma wartość historyczną, bowiem lejki w większości zostały zniszczone przez odkrywców. Umieścili oni tutaj jeden ze swych biwaków. Trzeba jednak mieć nadzieję, że po kilku latach formy te mogą odżyć.



ZBIGNIEW WÓJCIK





## POLOWANIE Z KAMERĄ

**P**olowanie to jedno z najstarszych zajęć ludzkości. Kiedyś — podstawa bytu, dziś jest raczej rozrywką, sportem, choć oczywiście ciągle jeszcze ma poważne znaczenie gospodarcze. Oprócz łowów ze strzelbą polować można dziś inaczej. Naszą bronią będzie aparat fotograficzny, a trofeum — zamiast przeszkadzających w mieszkaniu rogów lub stanowiącego pokarm dla moli futra — zdjęcia fotograficzne. To polowanie z kamerą jest jednak jeszcze trudniejsze od łowów ze strzelbą. Trzeba wielkiej znajomości przyrody, ogromnej cierpliwości i wytrwałości, aby trofeami były takie zdjęcia jak fotografie Janusza Czecha, które widzimy obok.

**WIEWIÓRKĘ** (*Sciurus vulgaris*), którą widzimy na pierwszej fotografii, spotkać możemy tuż za miastem, w każdym niemal lasku. Żyje ona w całej Polsce, a sprowadzana często do parków miejskich zadomowiła się tam na dobre i oswoiła z ludźmi. Widuje się ją w ciągu całego roku, choć zimą chowa się w czasie niekorzystnej pogody do zbudowanych przez siebie „gniazd” na drzewach i przesympia tam po kilka dni. Tę wiewiórkę, którą widzicie na zdjęciu, sfotografowano w Białowieży. W Karpatach i na wyżynach, spotyka się częściej czarną odmianę wiewiórki,

która jednak nie jest osobnym gatunkiem, gdyż nieraz w potomstwie jednej pary widywano okazy czarne i rude.

Równie pospolitym jak wiewiórka mieszkańcem naszych lasów jest LIS (*Vulpes vulpes*). Spotkać go można zresztą nie tylko w lasach ale i w małych nawet zagajnikach, a jego myśliwskie wyprawy sięgają także na pola i do wsi, gdzie wyrządza szkody porywając drób. Skryty i ostrożny lis nie jest łatwym obiektem fotografii. W terenach zaludnionych dzień spędza zwykle w głębokich jamach, a na łowy wychodzi nocą. Tam jednak, gdzie nic mu nie grozi, można go spotkać i dniem. Tak właśnie „upolowano” w okolicy Myślenic lisa, na zdjęciu.

Wśród dużych ssaków DZIK (*Sus scrofa*) należy do tych gatunków, które zachowały się jeszcze na całym prawie terenie naszego kraju. Ulubionym miejscem jego pobytu są duże, spokojne i stare lasy, ale potrafił się utrzymać i w mniejszych, zmienionych przez gospodarkę terenach zalesień. Zwykle obecność dzików zdradzają tylko ślady jego rycia w poszukiwaniu za larwami owadów, bulwami i cebulkami, stanowiącymi jego pokarm. Dużo już trudniej zobaczyć dzika, a znalezienie takiej gromadki warchlaków, jaką widzimy na

zdjęciu, to już naprawdę osiągnięcie. Choć dzik potrafi wyrządzać duże szkody na polach przyległych do lasów, rola jego w samym lesie jest pożyteczna, gdyż poprzez rycie i naruszanie zwarłego runa leśnego ułatwia on rozwój młodych drzewek. Trzeba zresztą pamiętać, że pojęcie szkodników i zwierząt pożytecznych ma zastosowanie tylko do terenów zagospodarowanych przez człowieka; w naturze każdy organizm odgrywa swą rolę w utrzymaniu stanu naturalnej równowagi.

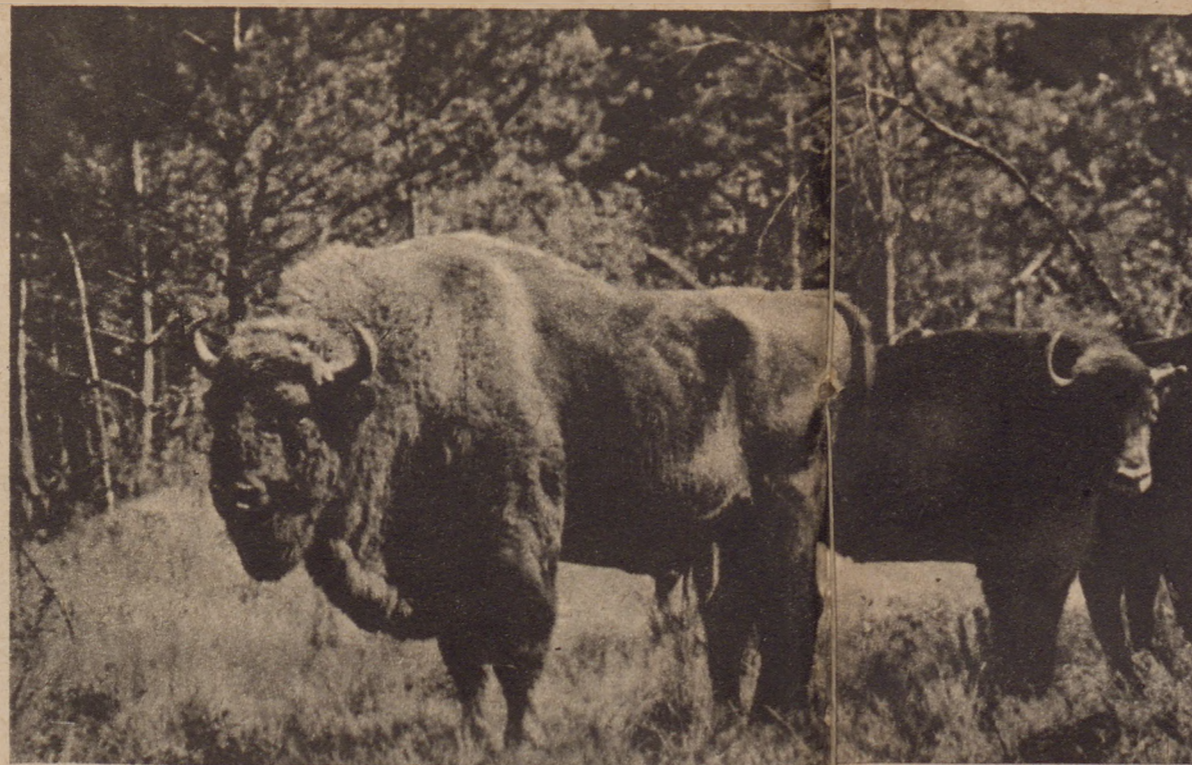
**JELEŃ** (*Cervus elaphus*), którego widzimy na dwu następnym ma zastosowanie tylko do terenów zagospodarowanych. Zwłaszcza byk ozdobiony wspaniałymi rogami, o muskularnej a zarazem delikatnej budowie ma sylwetkę doprawdy szlachetną. Kiedyś pospolity w lasach całego naszego kraju, został dziś jeleń bardzo przetrzebiony i zachował się tylko tam, gdzie prowadzono właściwą gospodarkę łowiecką. Najłatwiej jeszcze spotkać go w lasach Karpat i Sudeców lub w rozległych lasach na północy naszego kraju. Fotografia przedstawia jelenia-byka nad jeziorem Beldan na Mazurach.

Krewniakiem jelenia jest ŁOŚ (*Alces alces*). I on kiedyś pospolity był w bagnistych puszczech i na moczarach w całej Polsce.

Na wschodnich terenach Polski przedwojennej łoś był jeszcze wcale licznym zwierzęciem. Obecnie zobaczyć go można już tylko w rezerwatach: w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą i na Mazurach, gdzie pozostaje pod ścisłą ochroną. Można mieć nadzieję, że uda się kiedyś na tyle rozmnożyć to piękne zwierzę, że znów będzie można go spotkać na wolności w puszczech Mazur. Samiec łośa ma wielkie, łopatowate rogi. Na zdjęciu widzimy samicę, zwaną klempą lub łośką, sfotografowaną w Puszczy Kampinoskiej.

Również ŻUBR (*Bison bonasus*) żyje u nas tylko w rezerwach. Ten najwspanialszy zwierzę dawnych puszczy polskich, będący kiedyś ulubionym przedmiotem polowań królewskich, jest gatunkiem ginącym. Ostatnim terenem występowania żubrów była Puszcza Białowieńska, gdzie setki ich żyły do pierwszej wojny światowej, chronione jako obiekt polowań carów. Wojna przyniosła zagładę żubrom białowieckim, tylko pojedyncze okazy rozproszone w zwierzyńcach przetrwały tę klęskę. Po wojnie podjęto kroki dla zachowania i ponownego rozmnożenia tego królewskiego zwierza. W akcji tej Polska zajęła przodujące miejsce. Prace nad restytucją żubra prowadzone są i dziś. Mamy więc rezer-





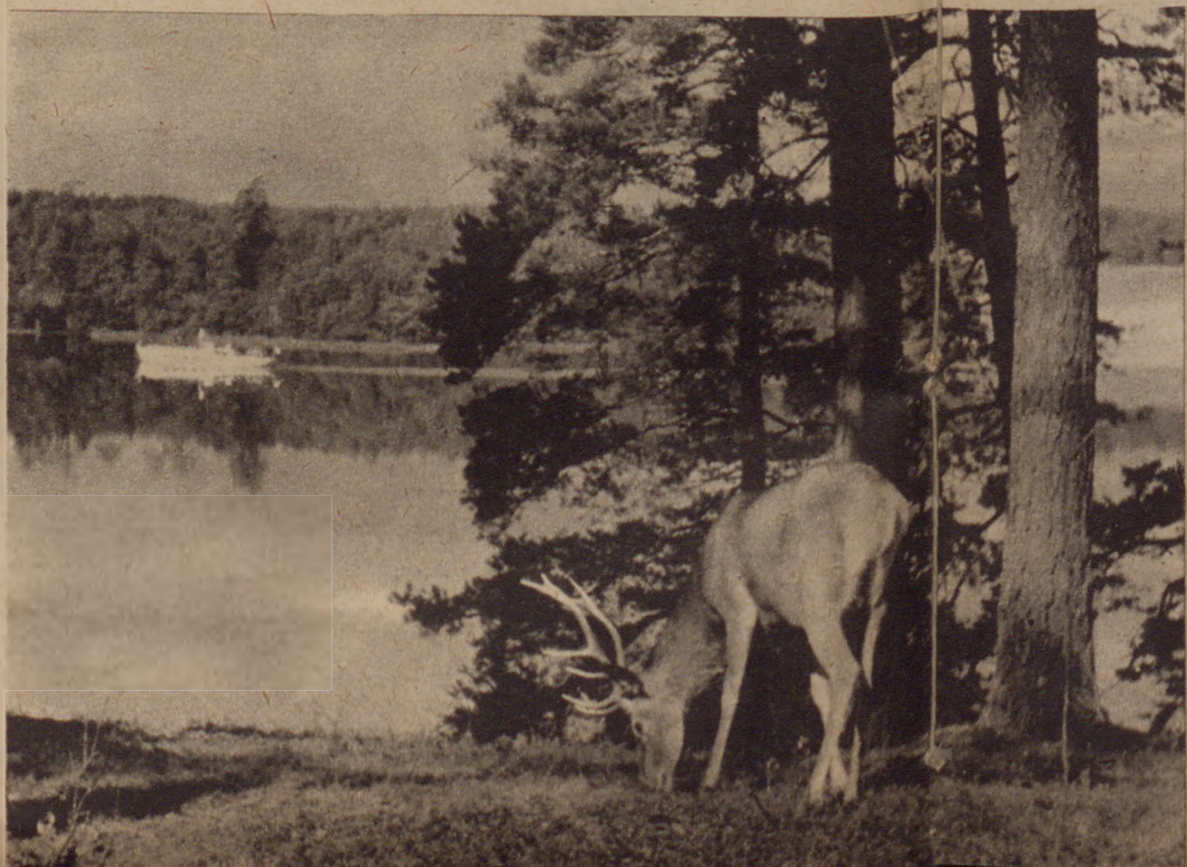
POLOWANIE  
Z  
KAMERĄ



waty dla zubrów w Białowieży, w Pszczynie, w Puszczy Niepołomickiej (tu właśnie zrobiono zamieszczone zdjęcie) i w Gorcach. RYS (*Lynx lynx*) — ten drapieżnik z rodziny kotów żyje jeszcze w Polsce w lasach Karpat i w Białowieży. Prowadzi on

skryty nocny tryb życia, tak że zwykle obecność jego stwierdzić możemy tylko po charakterystycznych śladach odcisniętych na śniegu lub na glinie. To zdjęcie — przynajmniej się szczerze — zrobiono w ogrodzie zoologicznym. K. K.

ZDJĘCIA JANUSZ CZECZ



Rys. S. Hennig





Nazwa *Brabant* wiąże się u większości Polaków z pojęciem brabantkich koronek, które i u nas były kiedyś symbolem elegancji i bogactwa. Toteż nie dziwi nas, że w tegorocznym marcowym numerze pisma krajoznawczego pod tym tytułem znajdujemy artykuł M. Risselin-Seenebrugen o koronkach brukselskich (Bruksela jest stolicą belgijskiego Brabantu). Jest on interesujący i dla krajoznawcy polskiego, bo na pewno w niejednym muzeum regionalnym, starym kościele czy dworze znaleźć można i u nas cenne okazy koronek brukselskich.

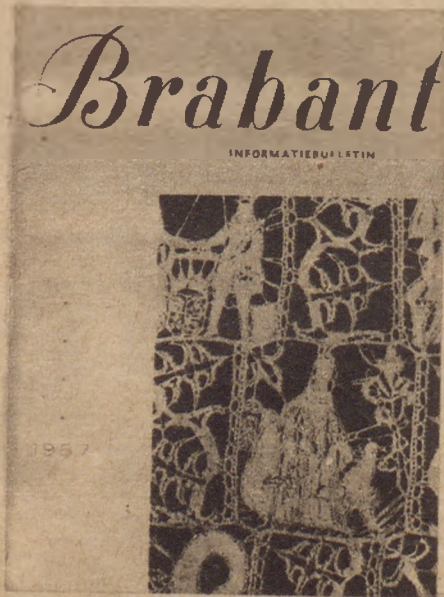
Technika wyrobu koronek powstała w XVI wieku, przy czym rozwój jej był stopniowy i powolny. Faktem jest, że w drugiej połowie XVI wieku Bruksela jest już uznawanym centrum produkcji koronek, które znajdują zbyt nie tylko w Belgii, ale przede wszystkim za granicą. Uznanie na dworze francuskim zdobyło im powodzenie także na wszystkich innych dworach Europy, a za ich przykładem u naśladowujących zwyczaję dworskie elegantów. Wyrób koronek, jako nowa gałąź produkcji, nie był tak jak inne działy skrępowany przepisami cechowymi i pozwalał na szybkie wzbogacenie się. W XVIII w. przemysł koronkarski zatrudniał według wiarygodnych źródeł 10 000 robotników brukselskich. W XIX w. produkcja przenosi się na wieś, a potem szybko zanika, by dotrzeć do czasów dzisiejszych w formie szczytkowej.

Bruksela posiada w swych kościołach i muzeach wspaniałe zbiory koronek. Na pierwsze miejsce wysuwa się kapa ofiarowana parze arcyksiężnej Albertowi i Izabeli z okazji ich ślubu i przyjęcia tytułu księżąt Brabantu w r. 1599. Zawiera ona 120 obrazów przedstawiających widowiska i uroczysty pochód na cześć władców.

Charakterystyczną cechą wyrobu koronek jest całkowita niemal anonimowość ich twórców. Brak im znaków czy nazwisk zarówno rysowników jak i wykonawców, a nawet manufaktur.

Nieliczne edykty regulują sprzedaż, sprawy celne i eksport koronek do Francji, Anglii, Rosji, Hiszpanii i Nowego Świata. Od XVII w. wydawano surowe zarządzenia przeciw

choć Anglia była jednym z największych odbiorców koronek produkcja ich nie osiągnęła tu nigdy poważniejszych rozmiarów. Produkcja ta wymagała bowiem dobrej



robotnikom, którzy chcieliby wyjechać i zajmować się produkcją koronek za granicą. Mimo to Anglia udzieliła azylu pewnej ich ilości. Ale

organizacji dużych manufaktur, a żaden z wielkich fabrykantów brukselskich, mimo korzystnych ofert, nie przeniósł się nigdy za granicę.

Wiek XVIII jest złotym wiekiem brukselskich koronek. Znaki i symbole na niektórych koronkach przechowywanych w zbiorach brukselskich świadczą, że były wykonywane dla Ludwika XIV, dla Karola VI Austriackiego, dla Marii Teresy... Druga połowa XVIII w. przynosi przewagę wpływów francuskich; fantazje rokokowe i motywy przypominające sztukę Dalekiego Wschodu wymagają od wykonawców niebywałego mistrzostwa.

W zbiorach koronek z XVIII w. obficie reprezentowanych w Brukseli śledzić można dobrze ewolucję ich stylu, treści i techniki. Znany tu już niektóre nazwiska projektantów. Nawet koronki produkowane dla celów religijnych pełne są w tym okresie lekkości i wdzięku.

Rewolucja Francuska jest ciosem dla produkcji koronek, ale przemysł ten dźwiga się znów za Napoleona I. W wieku XIX technika się zmienia, zaznacza się skłonność do aplikacji — na wykonanej ręcznie sieci umieszcza się elementy (np. kwiaty) odrębnie wykonywane. Powstają obrazy z koronek inspirowane przez styl Davida. Obok tych rodzajów koronek, dziś już nie produkowanych, pojawia się „rosalina“ spotykana jeszcze dziś, w której żyją motywy dekoracyjne mające swój początek jeszcze w XVIII w.

Koronka, będąca wciąż jeszcze produktem luksusowym, była zawsze niezwykle droga. Przemiany społeczne, zanik zwyczaju ostentacyjnego okazywania zbytku, spowodowały śmierć przemysłu koronkarskiego.

Brabant to oczywiście nie tylko ojczyzna koronek. To także teren turystyki i zainteresowań krajoznawczych mieszkańców Brukseli, teren wspaniałych zamków, wielu muzeów. O wszystkich tych osobliwościach i zabytkach pisze miesięcznik „Brabant“ wydawany przez Federację Turystyczną prowincji Brabantu. Znajdziemy tu też opis dawnej kwatery Wellingtona zmienionej potem na muzeum z czasu bitwy pod Waterloo i opis belgijskiego skansenu. Poza artykułami, ilustrowanymi dobrymi fotografiami, pismo przynosi miesięczny program imprez turystycznych i krajoznawczych, wśród których w miesiącach zimowych przeważa zwiedzanie muzeów, zabytków oraz wykłady. Uderza w piśmie brak tematyki przyrodniczej, może ze względu na to, że omawiane numery pisma pochodzą z zimy.

(K. K.)



### PEMEX TRAVEL CLUB

Spod olbrzymiego sombrera uśmiecha się twarz chłopca, dźwigającego w rękach tablicę z napisem „Visit Mexico“. To znak meksykańskiej organizacji turystycznej „Pemex Travel Club“, a „Odwiedź Meksyk“ — to jej hasło.

„Pemex Travel Club“ powstał — jak nas informuje w liście do redakcji ZIEMI dyrektor klubu i zarazem redaktor „Pemex Travel Club Bulletin“, p. Alfonso Villasenor — przeszło 19 lat temu. Popularyzuje on ciekawe i warte obej-

zenia regiony Meksyku, udziela informacji na temat hoteli i urządzeń turystycznych, a także ogłasza kalendarzyk atrakcyjnych imprez regionalnych. Ponadto klub wydaje prospekty turystyczne, mapy samochodowe a także ilustrowany miesięcznik o charakterze krajoznawczym. Czasopismo jest drukowane w dwu językach — hiszpańskim i angielskim. Wydawnictwa klubu rozprowadzane są bezpłatnie, a pan Villasenor podkreśla, że Pemex Travel Club jest „a non profit organi-

zation“. Skąd więc meksykański klub czerpie fundusze na swą działalność? Skrót „Pemex“ pozwala przypuszczać, że sponsorem klubu propagującego przede wszystkim turystykę samochodową jest przedsiębiorstwo naftowe Petroleos Mexicanos.

W jednym z najbliższych numerów ZIEMI omówimy szerzej zarówno krajoznawczą stronę działalności klubu jak i wydawany przez niego miesięcznik.

(L. Z.)



## ARESZTY WIEJSKIE

Kiedy bohater sensacyjnej powieści J. Farnola „Na szerokiej drodze“ zostaje aresztowany pod zarzutem morderstwa, XIX-wieczni wiejscy funkcjonariusze prawa są w nielada kłopotcie. W małej angielskiej wiosce, gdzie popełniono zbrodnię — nie ma aresztu. W końcu Jan Vibart zostaje zamknięty na najwyższym piętrze starej cmentarnej wieży.

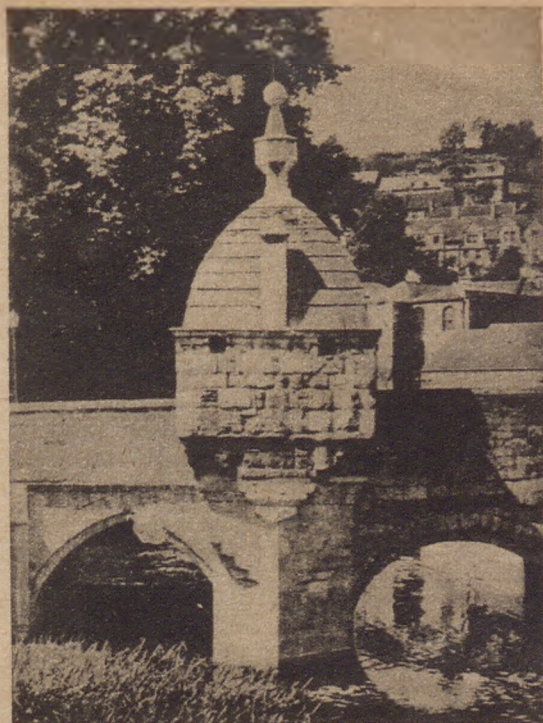
Wiele jednak spośród angielskich wiosek i małych miasteczek zwanych „country towns“ ma w tym czasie swoje własne areszty i to od bardzo dawna. Większość z nich przestała pełnić dziś swą groźną choć potrzebną funkcję, stając się pewnego rodzaju zabytkową osobliwością. Niektóre z nich przebudowano i obecnie służą nowym celom. Taki np. areszt w Fen Stanton w Huntingdonshire pełni dziś rolę wieży zegarowej i autobusowego przystanku. Ale nie wszystkie też dawne areszty stawiano z myślą o złoczyńcach. XIV-wieczny areszt na moście w Bradford-on-Avon był początkowo kapliczką, w której pobożni pielgrzymi modlili się o pomyślną podróż.

Wiejski areszt angielski to miejsce ani miłe, ani wygodne. Tu zamknięto przestępcę, póki policja nie odwiezie go do najbliższego więzienia. Te zimne i wilgotne domki stawiano zwykle z solidnych głazów. Ich jedno- lub dwuosobowe celki

często w ogóle nie miały okien. Stąd ich nazwa „blind houses“ — „ślepe domy“. Jednym z najmniej wygodnych w Anglii i najmniej wygodnych „ślepych domów“ jest areszt w Wheatley pod Oksfordem. Warto

nadmienić, że — jak pisze Courtney Dainton, w swym artykule o aresztach — już sama obecność tego rodzaju symbolu karzącej sprawiedliwości na wsi ostrzegała przed łamaniem prawa. A kiedy spojrzymy

na zdjęcie „blind house“ z Castle Carey, uderza nas (czyżby mimo-wolna?) symbolika jego kształtów. Oto mały okrągły domek nakrywa kopulasty dach, do złudzenia przypominający hełm angielskiego Bobby. (L. Z.)



(u góry) XIV-wieczny areszt wiejski na moście w Bradford-en-Avon był pierwotnie kapliczką.

(z lewej) Areszt w Wheatley pod Oksfordem, uważany za jeden z najmniej wygodnych aresztów wiejskich.

pan nam przedstawił — ani pojęcia krajoznawstwa nie wyczerpuje, ani pojęciu turystyki nie odpowiada.

— Czyżbyście reprezentowali pogląd jeszcze nowszy od mojego?

— Wręcz przeciwnie. Nie warto wyważać drzwi otwartych. Najpierw o turystyce. Przypomnijmy, co dość dawno powiedział o niej dr Filipowicz, nota bene znany panu z życzliwego stosunku do ZIEMI w trudnym okresie starań o uruchomienie piśma. Jego zdaniem „przez turystykę rozumiemy całość wszystkich wędrowek i pobytów poza miejscem zamieszkania, odbywanych poza nawiasem konieczności osobistych i zawodowych“. Definicja, jak pan widzi, jest na tyle szeroka, że obejmuje i samotną wędrowkę przez Matto Grosso i orbisowski pociąg na Targi Poznańskie, a nawet — wczasy w Młędzyzdrojach.

— Poczekajcie. Toż w ten sposób do jednego worka wrzuca się i sympatycznych trampów-harcerczy, i prywatną inicjatywę w Wartburgach i wczasowe kociaki na szpilkowych obcasach..

— Owszem. Niemniej jednak definicja jest poprawna, uniwersalna i odpowiada europejskiemu rozumieniu terminu „turystyka“. Dalej, ów worek, jak pan powiedział, może mieć przecież mnóstwo przegródek, które posłużą do rozsortowania gatunków. Będzie więc tam podróżnictwo, camping, weekendyzm, globtrotterstwo

itd. itd. Oczywiście, pominiemy tu taki rodzajny dziwotwór, jakim jest pojęcie „turystyki kwalifikowanej“. A więc to, co dla pana było całym krajoznawstwem, u nas jako „wycieczka krajoznawcza“ zmieści się w jednej z wielu przegródek worka z turystyką. A samo krajoznawstwo, jeśli mamy znów sięgnąć do cytatów...

— Pewnie przytoczycie Pawłowskiego, który uważał krajoznawstwo za gałąź geografii, „geografię stosowaną ziemi ojczystej“ czy coś w tym rodzaju?

— Skądże znowu. Z tym wcale się nie zgadzamy, krajoznawstwo nauką nie jest. Geografia, zdaniem niektórych też — mówiąc po cichu — nie jest nauką, jako że nie ma ani ścisłego zakresu, ani metody. Ale to podobieństwo wcale nie upoważnia do stawiania znaku równości między tymi dwoma pojęciami. W geografii nie mieszczą się zainteresowania historyczne, które w krajoznawstwie tak wielką odgrywają rolę. Zamiast jednak dociekać od nowa, sięgnijmy znów po opinię mądrego człowieka. Prof. Aleksander Paikowski twierdził, że krajoznawstwo jest „ruchem społecznym, zmierzającym do realizacji następujących celów: szerzenie wśród

społeczeństwa znajomości przyrody i kultury kraju rodzimego przez wszechstronne poznawanie środowisk, regionów i krain; zachęcanie i zaprawianie do samodzielnych badań i współpracy naukowej w tym zakresie; zachowanie rodzimych odrębności przyrody i kultury kraju; rozwijanie przywiązania do stron rodzinnych“. Jak pan widzi — zakres jest olbrzymi. W nim, jako mały wycinek zmieści się również i pańska „krajoznawcza turystyka“. To bowiem, co pan nazywał krajoznawstwem, stanowi właśnie to miejsce, gdzie pojęcia turystyka i krajoznawstwo zazębiają się. Dla krajoznawców turystyka jest jednym z technicznych środków, instrumentów działania.

— Może macie rację. Zobaczymy, co powiedzą na to czytelnicy.

— Gdy się spotkamy następnym razem, drogi Przyjacielu, porozmawiamy wyłącznie o dzisiejszym krajoznawstwie, o problemach praktycznej działalności i o programie. Szkoda, że nie mamy już czasu. Warto by roztrząsnąć niektóre problemy turystyki, choć to w gruncie rzeczy nie nasza sprawa. Na przykład ta turystyka „beztreściowa“ i

„dzika“. Mielibyśmy ochotę wziąć w obronę tych turystów, którzy dziko i beztreściowo chodzą. Sami to nieraz robimy w wolnej chwili i sprawia nam to niemalą przyjemność.

PRZEMYSŁAW BURCHARD  
JANUSZ GRZYBOWSKI

## NASZE ODPOWIEDZI

Czytelniczkom Z. M. i R. T. z Makowa Podhalańskiego wyjaśniamy, że nasz „przyjaciel“ nie jest żadną konkretną postacią ani też, jak przypuszcza p. Zygmunt S. ze Szczecina — symbolem dygnitarza czy Dygnitarza PTTK-owskiego. To jest po prostu fikcyjna postać, która nam służy do przeprowadzenia dialogów. To tłumaczy pewne niekonsekwencje w jego poglądach. Równie fikcyjnym pojęciem jest nasz „pokój redakcyjny“. ZIEMIA nie otrzymała dotychczas lokalu i pracuje pokątnie, czyli po kątach łaskawie nam użyczonych lub nie. Urzędników magistrackich w Krakowie to bawi, podobnie jak i urzędników różnych instancji PTTK, którego jesteśmy organem.

## NIHIL NOVI SUB SOLE

(DOKOŃCZENIE)



*Żeby miał kąć z bożej łaski,  
maleńki, jak te obrazki,  
co maluje Stanisławski  
z jabłonią i z bodiakami  
we złotawym słońcu takim*

# JAN STANISŁAWSKI

## W PIĘCDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

ANDRZEJ WALLIS



— mówi Pan Młody w „Weselu” Wyspiańskiego. Z biegiem czasu popularność „maleńkich obrazków” wciąż rosła, a malarstwo Stanisławskiego stało się synonimem swojskiego pejzażu w naszej sztuce.

Najlepsze lata twórczości Stanisławskiego przypadają na okres zwany popularnie Młodą Polską, od panujących wówczas prądów literackich. W malarstwie tego czasu rozwijała się bujnie scena rodzajowa i pejzaż. Stanisławski był u nas jednym z pierwszych artystów, który całkowicie i wyłącznie poświęcił się sztuce pejzażowej. Spośród wielu malarzy Młodej Polski umiał on najlepiej oddać na płótnie charakter wiejskiego krajobrazu.

O twórczości artysty wiele mówią tematy jego obrazów. Malował Stanisławski chaty i chłopskie sady, stodoły i stogi w polu. Z zamiłowaniem odtwarzał rośliny o drobnych, delikatnych kształtach — osty czy wysuszone w słońcu bodiaki. Lubił ukazywać wiejskie kwiaty, zwłaszcza malwy i dziewanny. Malował także krajobrazy o wielkim nieboskłoniu, wędrujące obłoki, topole nad wodą, łany zboża. Na Ukrainie, dokąd jeździł co roku, odtwarzał rozległy step i malownicze futory, granatowe wody Dniepru i cerkiewki o złotych kopułkach, które mienią się pięknie w słońcu. Przedstawiając pejzaż Małopolski czy widoki okolic Kijowa był Stanisławski zarówno malarzem wiejskiej przyrody, jak i odtwórcą regionalnych, a dzięki temu i narodowych cech pejzażu polskiego i ukraińskiego. „Odkrył on — pisał Wacław Husarski — odrębne wartości barwne polskiego nieba i polskiego horyzontu, on odczuł charakter linearny polskiej równiny i polskiego płaskowzgórza, styl malarski polskiej chaty i polskiego drzewa.”

Umłowanie wiejskiego krajobrazu zaszczeplił Stanisławski swoim licznym uczniom. „Malujcie panowie polską wieś — lubił im powtarzać — bo może za lat kilka jej nie będzie”. Sam też pierwszy stosował się do tych słów.

Pejzaże Stanisławskiego są nadzwyczaj esencjonalne. Na niewielkim płótnie, deseczce lub tekturce (przeciętne wymiary jego prac wahają się między 10 × 24 cm a 24 × 32 cm) tworzył on wizerunki natury o nieoczekiwanej dużej sile oddziaływania. Obcując z tymi obrazami ma się zawsze wrażenie pełnego, głębokiego odczucia przyrody. Osiągnął to artysta malując pejzaż w sposób syntetyczny, obdarzając go dużym ładunkiem nastrojowym, osiąganym dzięki wartościom kolorystycznym obrazu oraz chwytom kompozycyjnym.

W stosunku do obrazów Gersona czy Chełmońskiego prace artysty są znacznie bardziej syntetyczne. Drobiazgowej narracji o każdym drzewie i każdej roślinie w obrazach tamtych artystów przeciwstawia on daleko posuniętą selekcję elementów przyrody. Pozwalało mu to w mniejszym stopniu postugiewać się rysunkiem, a w większym — szeroką, malarską plamą, która zacierała ostrość konturów i kształtów. Dzięki temu mógł uchwycić na płótnie pierwsze, najogólniejsze i najświeższe wrażenie, jakie wywarł na nim malowany widok. Powstałe w ten sposób kompozycje nie wymagają śledzenia poszczególnych partii płótna dla dostrzeżenia wszystkich szczegółów i są łatwiejsze do szybkiego ich „wchłonięcia” przez odbiorcę. Z drugiej strony taka selekcja wraz z zastosowaniem specjalnej kompozycji obrazu pozwalała wydobyć jakiś jeden zakątek natury na plan pierwszy. Mamy u Stanisławskiego płótna, w których rodzina bodiaków lub kępa kłosów zboża awansowały do roli głównych bohaterów obrazu, a biegnąca wokół nich równina wraz z horyzontem i niebem stanowią dla nich jedynie tło. Ukazując kontrast między niepozornym krzewem, a całym pozostałym krajobrazem, podkreślał artysta kształt i piękno krzewu, jak również podnosił jego rolę w przyrodzie.

Wspólną cechą pejzaży powstałych w naszej sztuce na przełomie XIX i XX wieku jest ich nastrojowość. W obrazach Fałata i Wyczółkowskiego panuje zwykle pogoda i beztraska. „Widoki na kopiec Kościuszki” Wyspiańskiego są pełne dramatycznego napięcia. W baśniowych scenach Wojtkiewicza pejzaż napawa nas pesymizmem i melancholią. Własną nutę emocjonalną mają również pejzaże Stanisławskiego. Odczuwał on przyrodę niejednakowo: w niektórych płótnach, np. w widokach Tyńca nad Wisłą — lirycznie, w innych, takich jak panorama Dniepru (malował ją artysta ponad dwadzieścia razy) — epicko. Czasami, choć rzadko, przyroda w jego płótnach jest dramatyczna. Przykładem jest „Biorków w Proszowskim” i „Pejzaż ukraiński” (oba w krakowskim Muzeum Narodowym). Artysta wyzyskiwał przy tym umiejętnie nastrój każdej pory roku i każdej części dnia. Mamy u niego studia budzącej się wiosny i słonecznego lata, jesiennej szarugi i pejzażu zimowego. Dużą wagę przywiązywał zawsze do pory dnia. Współcześni żartowali sobie, że na podstawie jego pejzaży można ustalić godzinę i minutę, o której je malował. Trudno wyróżnić jedną nutę nastrojową, która by była charakterystyczna dla całego jego malarstwa. Bowiem oryginalność Stanisławskiego polega na wyrażaniu na płótnie całego bogactwa i różnorodności ludzkich nastrojów poprzez emocjonalne odczuwanie różnych stanów natury. Stąd w jego pracach obok radości oszałamiająco barwnych „Słoneczników” mamy pogodną melancholię „Pejzażu jesiennego”, obok nasyczonego ciepłem, słońcem i przestrzenią „Lata” spotykamy dramatyczne, ciemne chmury w „Pejzażu ukraińskim”, a obok cichego i poetyckiego nastroju „Kijowskiego cmentarza” — gorące i niespokojne barwy „Zachodzącego słońca”. Wspólną tym obrazom jest jedynie postawa wobec natury: jej pełna, zmysłowa afirmacja. Była ona istotną cechą światopoglądu artysty. W swej twórczości ukazywał on zawsze bogactwo przyrody, jej różnorodność i piękno. Rozumiał doskonale, co przejawiało się pośrednio w jego twórczości, jak doniosłe znaczenie estetyczne i psychiczne może mieć dla człowieka kontakt z naturą.

Stanisławski był subtelnym kolorystą. Niestety wskutek zmian, jakie zaszły w farbach (artysta używał farb złej jakości, które nie przetrzymały próby czasu), większość jego prac straciła swe pierwotne wartości kolorystyczne. Barwy obrazów lepiej zachowanych takich, jak „Cmentarz kijowski” i „Pejzaż z topolami” (oba w krakowskim Muzeum Narodowym), „Biała Cerkiew”, „Bodiaki pod słońce”, „Pola w słońcu” (wszystkie w warszawskim Muzeum Narodowym) są bardzo piękne i pokazują w jak dużym stopniu urok kompozycji Stanisławskiego polegał na ich walorach kolorystycznych.



(z lewej) Jan Stanisławski — „Topole nad rzeką” (olej).

(z lewej u dołu) Jan Stanisławski — „Pejzaż” (olej).



(z prawej) Jan Stanisławski — „Planty krakowskie” (olej).  
Reprodukcje wykonał  
Wiesław Nowakowski.

„Małych obrazków” stworzył Stanisławski wielką ilość — kilkaset, a być może ponad tysiąc. Malował przede wszystkim Małopolskę, którą zjeździł wzdłuż i w szerz, i okolice Kijowa. W jego dorobku mamy również prace z innych regionów. Wiemy, że artysta wyjeżdżał nieraz do Poznańskiego i Kongresówki oraz na Litwę, a nie w jego zwyczaju było wracać z takich podróży z pustymi rękoma.

Stanisławski uważany jest, i słusznie, za malarza przyrody wiejskiej. Widoki miejskie są w jego twórczości niezbyt częste, lecz można wśród nich spotkać prace bardzo ciekawe i wartościowe. Wśród jego dzieł są np. interesujące widoki Wawelu i moskiewskiego Kremla, są także widoki małych miasteczek ukraińskich. Oddzielną grupę obrazów stanowią pejzaże włoskie. Jest ich około trzydziestu i prawie wszystkie poświęcone są miejskiej architekturze. Przedstawiają one place Wenecji i Werony, kościoły Sieny, pałace Perugii. Są tych samych, małych rozmiarów, co pejzaże inne.

Twórczość Stanisławskiego stanowiła dalszy ciąg polskiego malarstwa pej-

żażowego lat 70-ych i 80-ych. Więż z tą sztuką, na której się kształcił, nie przeszkodziła mu jednak przyswoić sobie szereg zdobyczy malarstwa impresjonistycznego i secesji. Impresjonistom francuskim zawdzięczał kulturę kolorystyczną, zwłaszcza żywość i czystość barw. Od secesji przejął kapryśną i nieregularną linię zw. secesyjną, przy pomocy której czasami lekko stylizował malowany krajobraz. Łącząc te zdobycze z rzetelnym studium ojczyściej przyrody stworzył Stanisławski własny i oryginalny jej obraz malarski. Wpływ jego działalności artystycznej i pedagogicznej (był profesorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych) na dalszy rozwój polskiego pejzażu był bardzo duży. Dotyczył przede wszystkim wartości kolorystycznych malarstwa krajobrazowego. Przykład dzieł Stanisławskiego w dużym stopniu wzbogacił i ożywił paletę innych pejzażystów. Sprzyjał także wydobywaniu zmienności i nastrojowości natury oraz doborowi zwykłych wiejskich tematów. Liczni jego uczniowie tworzą tak zw. szkołę pejzażową Stanisławskiego. Nikt z nich nie potrafił jednak stworzyć dzieł wybitniejszych od prac ich nauczyciela.

## O DEMONACH, STRACHACH I INNYCH STWORACH

ANNA KOWALSKA-LEWICKA

Jakże często wędrujemy słonecznym Podhalem! Lubimy emocje tatrzańskiej wspinaczki, koczowania w Gorcach, krajoznawczych włóczęg po wsiach. Interesujemy się przyrodą, historią, zabawkami, człowiekiem. Lubimy inność Podhala — inność w krajobrazie, budownictwie, stroju, muzyce i charakterze jego mieszkańców. Przeczytaliśmy o nim wiele książek i każdy z nas potrosze uważa się za znawcę Tatr i Podtatrza.

Czy jednak na pewno je znamy? Czy wiemy o wszystkich jego mieszkańcach?

Istnieje pewna liczna, zróżnicowana społeczność, która ma swoje własne, odmienne zwyczaje i własne prawa. Górale wiedzą o nich Traktują ich jak sąsiadów, może nie zawsze wygodnych, lecz takich, o których wiadomo, że są i być muszą. Studiują ich zwyczaje, uczą się współżyć z nimi, ale nie zawsze chętnie o nich mówią. — Bo i po co? Czy taki „miastowy, kształcony” uwierzy? Jeszcze człowieka wysmieje!

Długie są jesienne wieczory na Podhale; długie i niepokojące głębokimi cieniami, tajemnicą mgieł, światłem księżycy i znikąd idącymi szmerami.

Cóż więc dziwnego, że noc zwycięża dzień w duszy i fantazji człowieka. Doświadczenia zdobyte w godzinach mroku rządzą nieraz całym życiem, a jeśli nawet ich działanie osłabia słońce, to przecież są to siły, których nie można, nie powinno się lekceważyć. „Ono”, bo bezpieczniej nie nazywać go po imieniu, rządzi wielu dziedzinami ludzkiego życia, jego dobrobytem, szczęściem, zdrowiem, a nawet śmiercią. Jestem doprawdy w kłopotcie, jak mówić o „Nim”, o społeczności nie zwierzęcej i nie ludzkiej. Cóż, po prostu spiszę część tego, co mi opowiadano.

Z zapadnięciem wieczoru zamiera życie we wsi. Ludzie wracają z pól. Od strony pastwiska ciągną gromady bydła i białych, hałaśliwych gęsi. I zimą zmierzch sprowadza ludzi do domów. Z lasów schodzą drwale, zjeżdżają do chałup furmani, którzy przez cały dzień rozwozili nawóz. Słowem, o zmierzchu, zimą i latem, życie zamyka się w czterech ścianach chałupy. Wśród wiejskiej nocy przesuwa się tylko czasem cień gospodarza wracającego z jakiejś odległej wędrowki, gdzie chodził „po interesie”, oraz szybkie, skradające się cienie parobków, którzy z zapadnięciem



ciemności wyruszyli na romantyczne ło-  
wy.

Ludzie uchodzą do swych siedzib,  
gdzie przed „Niewiadomym“ nocy chro-  
ni ich krag światła padający od nikłej  
lampki; poza nim i poza progiem za-  
bezpieczonym przed „Złym“ krzyżka-  
mi nakreślonymi świeconą kredą, roz-  
poczyna się władanie tajemniczych a  
nieprzychylnych mocy. A mocy tych  
jest wiele.

Zaledwie słońce zajdzie za najbli-  
sze wzgórze rozpoczynają swój praco-  
wity żywot Boginki, czyli inaczej Dzi-  
we Żony. To najpopularniejsze i naj-  
częściej spotykane na Podhalu istoty  
należące do licznej i zróżnicowanej spo-  
łeczności nadnaturalnych stworów. Za-  
równo ich wygląd jak i zwyczaję są  
powszechnie znane i każdy potrafi na  
ich temat opowiadać długie historie.  
Najczęstszym zajęciem Boginek jest  
pranie brudnych szmat w rzekach i po-  
tokach — „ciongle je było słycać  
prać“ — szczególnie przed wschodem,  
a już najczęściej bezpośrednio po za-  
chodzie słońka. Prały zwłaszcza w so-  
boty, dlatego kobietom nie wolno było  
w soboty po południu wychodzić z bic-  
lizną ku wodzie. Jeśli któraś złamała  
zakaz, chłopcy ją stamtąd przepędzali.  
Po co miała się lekkomyślnie narażać?  
Boginki mogły ją porwać. (Do dziś  
w Dębnie na babę, która idzie prać do  
potoka lub źródła o zmierzchu woła-  
ją — „idzie prać jak Dziwa Zona“).

Co do tego, czy Dziwe Żony były  
duchami, czy nie, istnieją podzielone  
zdania. Stary gazda z Brzegów twier-  
dzi, że „to były duchy, ale je wido-  
wali“, natomiast w Dębnie są innego  
zdania. Znane jest łakostwo Dziwych  
Zon — rozumują więc logicznie: „to  
nie duchy ino jakieś widziane ludzie;  
kie jeść chciały, to nie były duchy“.

Dziwe Żony nie odznaczały się nad-  
mierną urodą. „Były kosmate jak mek  
na dachu“ i miały długie piersi, tak  
długie, że idąc zarzucały je sobie na  
plecy, by im nie przeszkadzały. Pier-  
siami tymi, jak kobiety kijankami,  
prały bieliznę w rzecę.

Jakkolwiek głównie słyszy się o Bo-  
ginkach, byli przecież i Bogincorze, ich  
mężowie. W Krauszowie twierdzą, że  
„Bogincorze to były ziemne duchy“.  
W opowiadaniach zjawiają się rzadko,  
widocznie mniej byli przedsiębiorczy  
i rzadziej wchodzili w kontakty z ludź-  
mi. Mieli tylko jedną, wyraźną ce-  
chę — nie cierpieli chłopów, którzy  
chodzili z odkrytą głową. Zaledwie  
gazda „bez kapalusa“ wyszedł w pole,  
chwyciła go banda Bogincorzy i tań-  
czyła z nim do upadłego śpiewając:

„Jedno noska cyrwono  
druga nosko zielono  
kapelusek na głowie  
zatońcicie se panowie“

Boginki miawały liczne potomstwo,  
a do porodu często wzywały wiejskie  
akuszerki. W Białym Dunajcu Boginki  
mieszkiwały w rzece Dunajcu w miej-  
scu, gdzie odchodzi droga do Gliczarow-  
wa. Pewnego razu przyszedł stamtąd  
do wsi Bogincorz po babę „co do bob  
chodzi“ i zaprowadził ją nad rzekę,  
gdzie w jaskini skalnej leżała w polo-  
gu jego żona. Wszystko poszło dobrze,  
aż do chwili, gdy akuszerka miała  
wziąć zapłatę za swą pomoc. Wówczas  
wdzięczna Boginka szepnęła jej, że gdy  
Bogincorz ofiaruje jej do wyboru du-  
katy i garnek z popiołem powinna wy-  
brać ten drugi, gdyż złoto zmienia się  
w jej rękach w koński nawóz. Baba  
posłuchała, wybrała garnek popiołu  
i w domu pod popiołem znalazła pełno  
pieniędzy.

Najwięcej kłopotu miewała wieś  
z dziećmi boginek, były bardzo brzydkie,  
chude, żarłoczne i rozwrzeszczane. Nic  
też dziwnego, że starały się wymieniać  
je na dzieci ludzkie. Pod nieobecność  
matki wpadały do izby, porywały z ko-  
łyki ludzkiego noworodka a wkładały  
własnego. Matka często nie zorientowa-  
ła się; nie wiedziała, dlaczego od pew-  
nego dnia dziecko zaczynało krzyczeć  
i chciało wciąż i wciąż jeść. Mądre  
stare baby potrafiły nieomylnie roz-  
poznać po tych cechach dziecko Dzi-  
wej Żony. Znały też rady, by zmusić  
Boginkę do oddania ukradzionego nie-  
mowlęcia. Boginki bowiem, choć wy-  
mieniały dzieci, zawsze interesowały się  
ich losem, dbały, by je dobrze trak-  
tować i dobrze karmić. Wystarczyło  
więc wyjść na pole z takim małym  
Bogincorzem i tak długo bić go różga-  
mi dopóki zwabiona krzykami praw-  
dziwa matka nie przybiegnie znad rzeki  
i nie rzuciła kobiecie jej własnego  
dziecka a nie porwała swego małego  
odmieńca.

Nie zawsze rodzice na czas zoriento-  
wali się, że odmieniono im niemowlę.  
Czasem latami chowali dziecko Dzi-  
wej Żony wierząc, że to ich własne.  
Stało się tak w Dębnie wiele lat temu,  
„jesce za dworu“ (przed 1848). Żyli  
tam spokojni gazdowie i mieli uko-  
chane dziecko jedynaka. Wybrali się  
raz na wesele do odległej wsi i wzięli  
małego ze sobą. Nóżki go od marszu  
rozbolaly, więc matka niosła go na rę-  
kach. Raptem od mokradel zawołała  
Dziwa Zona: „gdzie ty idziesz Stok-  
lesce?“ — na co dziecko odpowiedziało:  
„na wesele w raj“. Przerażeni rodzice  
zrozumieli dopiero teraz, że chowali  
odmieńca. Malec odpowiedział na wo-  
łanie prawdziwej matki Boginki i tym  
zdradził swoje pochodzenie. Rzucili  
więc dziecko na ziemię i uciekli —  
nigdy już więcej na to miejsce nie  
powrócili szczęśliwi, że pozbyli się pot-  
worka.

Raz nawet, też w okolicach Dębna,  
młoda piękna dziewczyna porzuciła  
wieś i uciekła do Boginek. Niewątpli-  
wie była takim zamienionym dzie-  
ckiem Dziwych Zon i choć wyrosła we  
wsi, zateśniała za swoimi.

Z niewiadomych powodów Dziwe  
Żony uwięziły się na łożnicy. Zwłasz-  
cza kobiety przed wywodem (wywód  
kościelny odbywał się w 9 dni po uro-  
dzeniu dziecka) narażone były na por-  
wanie lub odebranie pokarmu. Dbano  
więc bardzo, by w tym czasie nie wy-  
dalać się poza próg chałupy, a już  
tym bardziej nie wychodzić w pole.  
Dawniej przedsiębrano inne jeszcze  
środki ostrożności. W nogach i gło-  
wach łożka łożnicy umieszczano  
sztorcem dwuzębne widły i na nich roz-  
wieszano prześcieradła zasłaniające  
szczelnie chorą — wszystko „skroś tyk  
Boginek“.

Młode matki bywały jednak czasem  
nieostrożne i nie chciały wierzyć prze-  
strogom doświadczonych starych gaź-  
dzin. W Brzegach taka młoda lekko-  
myślna łożnica, w piękne upalne lato  
nie mogła wysiedzieć w parnocie izby.  
Wybiegła na pole, by popatrzeć na sło-  
neczny dzień i zaczerpnąć świeżego po-  
wietrza, aż tu napadły ją znienacka  
trzy Boginki. Wśród szamotania kobie-  
cie spadł z nogi kierpiec. Natychmiast  
jedna z Boginek wsadziła doń obie  
stopy, ale teraz nie mogła już biec  
z innymi. Tymczasem tamte dwie por-  
wały jednak kobietę i niosły ją powie-  
trzem, ale nisko nad ziemią, bo była  
ciężka. Bogince unieruchomionej w

kierpcu żał się zrobiło, że tamte, a nie  
ona, schwytały zdobycz i z zawiści po-  
stanowiła pozbawić je łupu. Zaczęła  
wołać: „zonka, zonka, uchyc się zwon-  
ka“ („a totyn zwonek to jes tako tro-  
wa, co na miedzak rośnie, panowie na-  
zywajom iom dziurawiec. To sie świen-  
ci i to ma takom site, że jak sie clo-  
wiek uchyci, to go zoden duk nie zdole  
oderwać“). Baba zrozumiała, o co cho-  
dzi, i kiedy ją przenosiły nad miedzą,  
uchwyciła się dziurawca. Boginki za-  
częły ją ciągnąć, targać, ale już pora-  
dzić nic nie mogły, a tymczasem na jej  
krzyki przybiegły ze wsi inne baby  
i odgoniły Dziwe Żony.

Co by zrobiły ze swą ofiarą, gdyby  
im się udało ją porwać — o tym opo-  
wieść milezy. Ponoć schwytanym ludzi  
zanosiły do swych schronisk na dnie  
bagien, w grotach skalnych i chaszczach  
nadrzęcznych i tam piły ich krew.

Na ogół jednak Boginki były nie-  
groźnymi, raczej nawet śmiesznymi po-  
staciami i łatwo je było wywieść w pole.

Ich wielką słabością była muzyka.  
Lubiły przysłuchiwać się grze — dla-  
tego też szczególnie chętnie łapały mu-  
zykantów. Tak schwytały basistę w  
Brzegach i przez rok trzymały go na  
dnie mokradel słuchając jego gry. Mu-  
zykalne Boginki mieszkaly również w  
grotach Cisowej Skalki nad rzeką  
Białką. Łapały każdego, kto tam sa-  
motnie przechodził. Przyłapały raz kob-  
ziarza (mój dziewięćdziesięcioletni in-  
formator, Nowobilski z Białki, pamię-  
tał go dobrze z czasów swego dzieciń-  
stwa), zawlekły do jaskini i kazały so-  
bie grać. Zagroziły, że jak będzie ucie-  
kać, zabiją go. Kobziarz był chłopem  
przemysłnym. Grał im długo i tak  
smętnie, aż posnęły. Potem nadał kob-  
zę, że mało nie pękła i ostrożnie, nie prze-  
rywając gry położył na ziemi, a na  
niej kamień, który wolno wyciskał z  
niej powietrze. Fajarka wydawała to-  
ny, tak jakby dmuchał w nią grajek.  
Sam zaś skoczył do otworu i zna-  
lazszy się na polu pogonił ile sił  
w nogach ku wsi. Dziwe Żony pobu-  
dziły się dopiero, gdy ustało granie  
i choć od razu puściły się w pogoń, nie  
zdołały już złapać grajka.

Dziwe Żony były wiecznie głodne.  
To jeszcze za dziadków bywało — po-  
deszły w porze wieczornego posiłku pod  
okna chałupy i wołały — „co tam ce-  
cerocie?“, bo nie umiały powiedzieć  
„wieczercocie“. Jeśli się im powiedzia-  
ło co gaździna uwarzyła na wieczerę,  
tak długo siedziały pod oknem, aż się  
im nie wyniosło jadła. Ludzie potem  
już zmyślali i częstowali je potrawa-  
mi podanymi w skorupce jajka. Wte-  
dy wołały oburzone: „małe gajki na  
papajki“ co miało znaczyć „małe garnki  
na jedzenie“. Żeby się ich definityw-  
nie pozbyć, trzeba było na zapytanie  
„co tam cecercocie?“ odpowiedzieć  
„świńskie gówno“. To je odstraszało.

Na dwie rzeczy były Boginki lako-  
me jak małe dzieci — na groch i mar-  
chew. Nocą przychodziły na grzędy  
i potrafiły zniszczyć cały plon. Raz  
w Knurowie, gdzie od dawna uprawiają  
dużo grochu, noc w noc ktoś tratował  
zagon jednego gazdy. Poradzili mu,  
żeby poszedł pilnować z tęgim kijem.  
Noc była ciemna, bezksiężycowa. Chłop  
siedzi w grochu i czeka. Raptem nade-  
szła burza i w świetle błyskawic zoba-  
czył wyraźnie Dziwą Żonę rwącą groch.  
W ciemności trudno jej było jednak  
odróżnić liście od strączków, ucieszyła  
się widać z błyskawic i tak sobie po-  
gaduje: „mignij mi Boze mignij, coby  
było grof targać widnij“. W tym mo-

mencie chłop trzepnął ją kijem po gło-  
wie. Ona myślała, że to piorun i gada:  
„aleś mi Boze mignyl zek se ledwie  
z grofu dźwignyl“ — i uciekła.

Kto był jednak przemyślniejszy, nie  
musiał czuwać w grochu czy marchwi  
całą noc. Trzeba było tylko znać dziw-  
ną pasję Boginek do obuwania swych  
bosych stóp. Gdzie tylko znalazły  
kierpca czy buta, natychmiast wkładały  
go na nogę. Posłuchajmy, co o tym opo-  
wiadają w Poroninie:

„Mieli jedni gazdowie w ogródku  
przed domem barzo piknom marchew.  
A Boginki, co ik tej barzo duzo befo,  
korzonkami zyły i taki okazyje sukaly,  
coby byly gdzie marchew nasly. Wy-  
macaly tyn marchew w tym ogródku —  
chodziły i kradły. Gazdowie zmierko-  
wali, ze im cosi marchew kradnie i na-  
rzekali przed sonsiadem na złodzieja,  
co go uwidzieć ani chycić nimogli.  
Tak tyn sonsiad im poradziel, coby je-  
den but do marfie wlozyli a pilnowali  
za oknem, to złodzieja chycom. (Bo  
un mierkował, ze to nie będzie co inkse  
ino Boginki). Przysła wiera Boginka —  
iści jus nie patrzala markwie ino uwi-  
dziala but i zacena sie do niego obu-  
wać. Proguje jednom noge wrazić to  
druga bosa, proguje dali — nareście  
obie nogi wlozyła do tego jednego buta.  
Sonsiad temu gazdowi pirwi jesce ope-  
dziol, jako to mo robić, ze jak przyjdzie  
Boginka i wrazi nogi do buta, to wy-  
skoc i chyć jom na lańcuk. (Obie nogi  
w jednym bucie miała, to nimogła ucie-  
kać). Iści chycił jom i przywiódł do  
izby na tym lańcuchu i w koncie  
uwionzał, tym lańcuche przybił do  
ściany, coby nie usiekła...“ Ciąg dal-  
szy opowiadania dotyczy już innych  
spraw, dość że w końcu chłop puścił  
Boginkę na wolność.

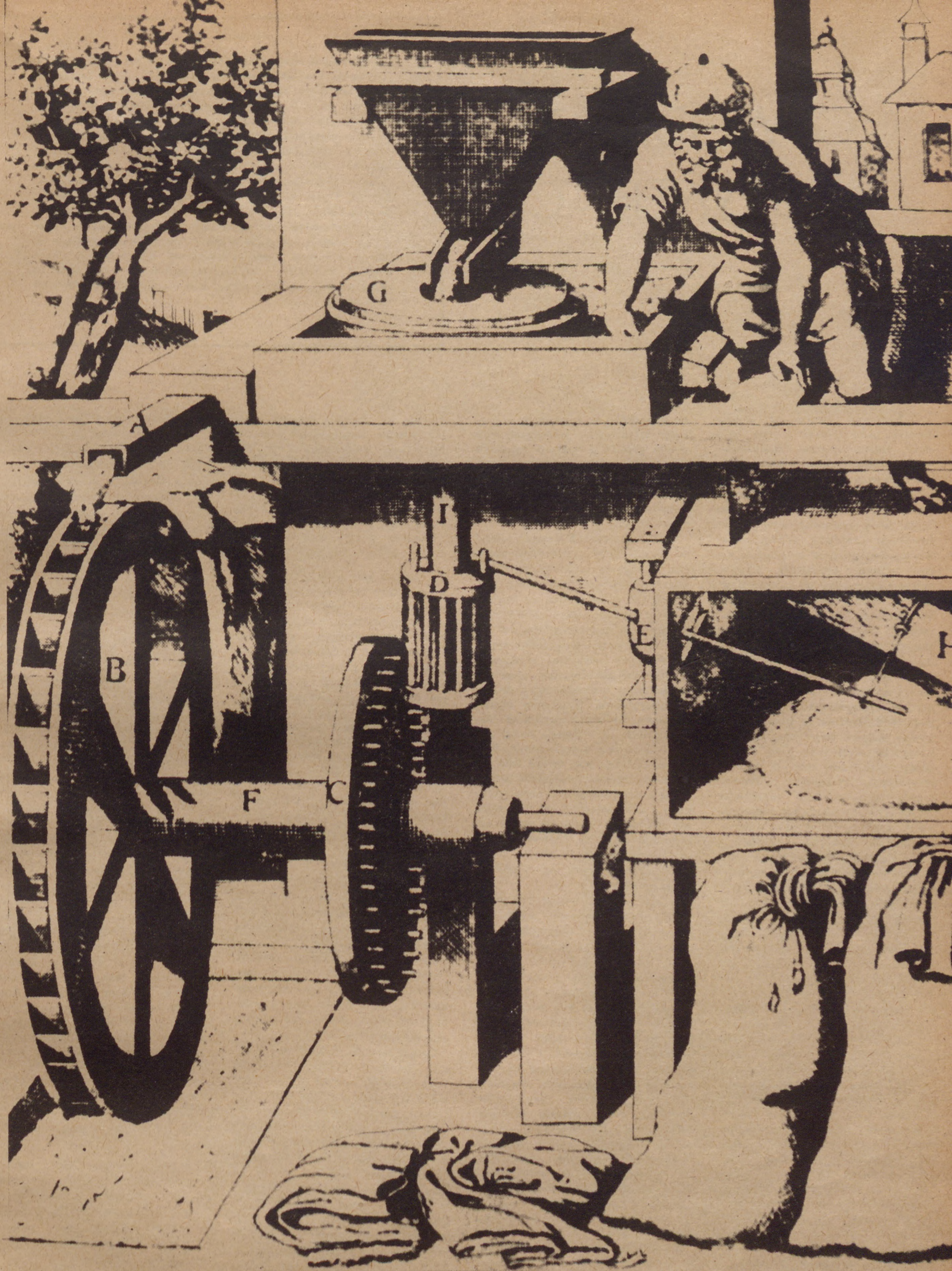
W Ochotnicy mówił mi stary Furca,  
że najlepszy na Boginki jest but czer-  
wony. Takiemu żadna się nie oprze.  
Jego matka na własne oczy widziała,  
jak rano złapano w grochu Boginkę,  
która stała tam całą noc z obiema sto-  
pami włoczonymi w czerwony bucik.  
Nawet lęk przed nadchodzącymi ludź-  
mi nie mógł jej zmusić do wyjęcia  
choćby jednej nogi z buta.

Boginek teraz jest mniej niż dawniej,  
nawet bardzo mało. W takim Dębnie  
na przykład, jeszcze bezpośrednio przed  
pierwszą wojną światową prały o  
zmierzchu szmaty w potoku opływają-  
cym kościół, w samym środku wsi.  
Zwłaszcza w sobotę roznosił się stam-  
tąd po całej wsi odgłos klepania pla-  
skich piersi w mokre szmaty. Dziś nie  
ma tam Boginek zupełnie. Czasem  
jeszcze w innych wsiach i odległych  
od ludzkich sadyb potokach, pośród  
lasów, w jarach, słycać ich pranie.

Co się z nimi stało? Starsi nabożni  
twierdzą, że odkąd ludzie są bierzmo-  
wani Złe nie ma do nich dostępu i wy-  
niosło się do pogańskich krajów. Młod-  
si są innego zdania. Twierdzą, że w  
całej dolinie Dunajca Dziwe Żony uto-  
piły się w czasie wielkiej powodzi  
w r. 1934. Przedtem przecież można je  
było często spotkać. Nocą przyszła  
wtedy wysoka fala, a przecież wia-  
domo, że Dziwe Żony mieszkaly tuż  
nad wodami. Powódź zaskoczyła je i nie  
miały już czasu ratować się ucieczką.

Dalszy ciąg w następnym  
numerze





Tak według „Theatrum Machinarum Novum” wyglądał w r. 1661 młyn wodny. Schemat przedstawiony na rycinie nie uległ do dzisiejszych czasów zasadniczej zmianie. Na stronie następniej — artykuł o wodnych maszynach.



# O WODNYCH MASZYNERIACH

MARIAN KORNECKI

Niedawno jeszcze na terenie prawie całej Polski można było dość często spotkać charakterystyczne stare wiatraki i młyny wodne. Jedne z nich, wzniesione na otwartej przestrzeni, nierzadko zgrupowane w skupisko liczące po kilka sztuk, podnosiły urbanistyczny walor panoramy osiedli, malowniczo dominując w krajobrazie wsi czy małego miasteczka. Drugie, często usytuowane w zagłębieniach terenu, łatwo uchodziły uwadze obserwatora. Ale za to taki „odnaleziony” stary młyn, w osłoniętym zielenią parowie, lub też szeroko rozsiadły, częstokroć wzniesiony na palach nad rozlewiskami nizinnych rzek i systemem stawów i grobli — urzekał malowniczością i swoistym nastrojem. Wartości te dostrzegli już dawno artyści wszelkich dziedzin twórczości. Zwłaszcza wiek XIX i prądy romantyzmu znalazły w „starym młynie” szczególnie wdzięczny temat, odpowiadający subtelności ducha epoki, podobnie jak malownicze i bogate w historyczne wspomnienia ruiny dawnych zamczysk.

W dawnym młynie elementem szczególnie interesującym i zwracającym uwagę były oczywiście drewniane koła wodne, mieszczące się najczęściej na zewnątrz budowli, a rozmiarami przekraczające nieraz średnicę kilku metrów. Im też należy poświęcić baczną uwagę, gdyż istotne techniczne walory mechanizmu młyńskiego — rzecz prozaiczna — uzależnione są w znacznej mierze od ilości i spadku doprowadzonej wody oraz od rozmiaru i typu koła. Oba te czynniki pozostają ze sobą w matematycznej współzależności. Koła młyńskie według sposobów napędzania podzielić można na dwie podstawowe grupy: koła podsiębierne i nasiębierne. Pierwsze z nich stosowano w młynach usytuowanych z reguły nad odpowiednio ukształtowanym kanałem doprowadzającym. Poruszał je prąd spiętrzonej w młynówce wody. Młynówka była sztucznym odgałęzieniem głównego koryta rzeki utworzonym za pomocą stosownego jazu. Młyny o kołach podsiębiernych zakładano najczęściej na równych terenach nizinnych, tworząc potrzebne do uruchomienia mechanizmu systemy stawów, kanałów i grobli. Młyny nasiębierne budowa-

no najczęściej w dogodnych warunkach terenowych: wykorzystywano potoki górskie o nagłych spadkach. Woda doprowadzana korytem spadała z góry na koło i obracała je. Młyn tego typu górował nad „podsiębiernym” dzięki lepszemu wykorzystaniu siły wody.

Strona techniczna dawnego młyna rzadko jednak pociągała badacza. Prymityw mechanizmu często budził uśmiech, zwłaszcza przy jednoczesnym stwierdzeniu, iż dotrwał do ostatnich czasów młyny najczęściej nie mogły legitymować się tak odległym wiekiem, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało. Mianowicie poszczególne elementy mechanizmu, stosunkowo prędko się zużywające, wymagały częstej wymiany. W wielu młyńskich mechanizmach tu i ówdzie metal zastąpił drewno a walce — żarna. Biorąc w dodatku pod uwagę fakt, że budynki młynów wiejskich wznieszone z nietrwałego i lichego materiału często zastępowano nowszymi nie dbając o ozdobienie ich artystycznym detalem, wydawać by się mogło, że obiekty te nie są warte ani większej uwagi, ani jakiegokolwiek ochrony.

A przecież koło wodne jest jedną z najstarszych maszyn, jakie zna ludzkość. Przez długie stulecia ludzie korzystali z tego wynalazku i napęd wodny uruchamiał najróżniejsze mechanizmy, począwszy od urządzeń komunalnych i obronnych miast średniowiecznych poprzez dochodowe „przedsiębiorstwa” władców feudalnych, wszelkie wiejskie warsztaty przemysłowe i rzemieślnicze, aż po skomplikowane już maszyny XIX-wiecznych obiektów ciężkiego przemysłu. Koła wodne poruszały różne rodzaje młynów, foluszy, hamerni, tartaków, papierni itp. Często w jednym obiekcie łączono kilka różnych warsztatów. Na Podkarpaciu można spotkać jeszcze dziś istne „kombinaty wodne”, składające się z młynów, traczy i foluszy, korzystających ze wspólnych urządzeń.

Szczególne interesujące wśród tych wodnych maszyn były pływające młyny, tzw. „łodne”. W Polsce używano ich jeszcze niemalże do ostatniej wojny. Takie zbudowane na krypie czy galarze i wyposażone w koło podsiębierne młyny ho-

lowano na dogodne miejsce, gdzie odpowiednio zakotwiczone pracowały, wykorzystując prąd wody. Pływające młyny spławiane pomiędzy miejscowościami zmieniały często miejsce pobytu. Zakotwiczone na większych rzekach stanowiły swego czasu istną plagę dla żeglugi.

Dopiero ostatnie stulecie przynosi na tym polu zasadniczą zmianę.

Wynalazca koła wodnego jest oczywiście nieznany, lecz wiemy, że już w starożytności stosowano ten sposób wykorzystania energii wodnej. Młyn wodny znany był w dawnym Egipcie, Asyrii, a także w Chinach. Zapewne za pośrednictwem Rzymian rozpowszechnia się i w Europie. Dokładny opis ówczesnego młyna wodnego o kołach podsiębiernych zawdzięczamy Witruwiuszowi, który na początku naszej ery zamieszcza go w dziesiątej księdze swych traktatów architektonicznych *De architectura libri decem*. Brak jest natomiast pewnej wiadomości, kiedy pojawia się młyn o nasiębiernym napędzie kół, jednakże urządzenia takie spostrzegamy na przekazach ikonograficznych XIV i XV wieku. Te, a także późniejsze przekazy, pozwalają łatwo prześledzić ogólną linię rozwojową maszyn wodnych. Zwłaszcza stosunkowo licznie pojawiające się w XVII wieku ilustracje o charakterze schematycznym, spełniające w swoim czasie rolę „rysunków technicznych” dowodzą, że technika młyna wodnego w ciągu stuleci nie ulegała zasadniczej zmianie.

Druga połowa XIX wieku przynosi olbrzymi postęp techniczny. Para, turbiny, prąd elektryczny, silnik spalinowy — otwierają możliwości spychające odwieczne mechanizmy na dalszy plan. Ale energia, czerpana wprost z sił przyrody — jest jeszcze wciąż najtańsza. Egzystują więc nadal, a nawet powstają nowe obiekty, wznoszone w oparciu o doświadczenia pokoleń. Dzieje się to zwłaszcza na terenach uboższych, oddalonych od centrów cywilizacji i pozbawionych dogodnych połączeń komunikacyjnych. W miarę postępu techniki poczynają się jednak wyraźnie zarysowywać kryteria, kwalifikujące pewne obiekty przemysłowe jako zabytki kultury materialnej.

Prowadzona przez Państwowy Instytut Sztuki akcja katalogowania zabytków sztuki w Polsce nie objęła zasadniczo wiejskich zabytków przemysłowych, a takie instytucje jak Instytut Historii Kultury Materialnej PAN czy Muzeum Techniki nie mają również możliwości podjęcia pełnej akcji inwentaryzacyjnej. Redakcja pragnie na łamach ZIEMI otworzyć stałą kolumnę przeznaczoną do publikowania materiałów, dotyczących istniejących jeszcze zabytków tego rodzaju. Wszystkich Czytelników zachęcamy do współpracy. Krótkie, treściwie ujęte dane winny zawierać: miejscowość, powiat, obiekt, czas powstania i opis zabytku z uwzględnieniem dostępnych danych technicznych. Wiadomości historyczne a także związane z zabytkiem legendy i podania — bardzo pożądane. Chętnie zamieścimy fotografie lub dobre rysunki. Materiały — wykorzystane lub nie — możemy za zgodą autora przekazać jednej z zainteresowanych instytucji naukowych.

W Polsce nie tylko postęp techniczny przyspieszył zniknięcie wiejskich zabytków przemysłowych. Po fali dotkliwych zniszczeń wojennych likwidacja przeważającej części prywatnych warsztatów produkcyjnych na wsi — stała się decydującym ciosem, wymierzonym automatycznie w egzystencję zabytków przemysłowych. Zatrzymane, nie remontowane urządzenia rozsypują się w szczątki. Młyny popadają w ruinę i podlegają rozbiórce na materiał budowlany i opałowy. Przemysłne, często prastare urządzenia wodne ulegają zniszczeniu. Również i wiatraki jeden po drugim znikają z polskiego krajobrazu.

Z mapą w ręce uparcie docierałem do wielu miejscowości w poszukiwaniu istniejących tam jeszcze niedawno młynów i wiatraków, ale z reguły zastawałem co najwyżej resztki grobli, zerwane jazy, pozostałości urządzeń, lub najczęściej zgola puste place.

Znaczenie twórczej pracy człowieka poświęconej w ciągu wieków walce o opanowanie sił przyrody, doskonalenie narzędzi pracy i sposobów wytwarzania — można dobrze poznać na przykładzie zabytków techniki. Utrzymanie zabytków przemysłowych ma więc pierwszorzędną wartość dydaktyczną, której zachowanie leży w bezpośrednim interesie kultury narodowej. Ratowanie zabytkowych wiejskich obiektów przemysłowych jest pilnym nakazem chwili. Zaniedbanie zaś tego rodzaju obiektów jak młyny wodne i wiatraki może w przyszłości uniemożliwić szczegółowe opracowanie tej gałęzi techniki na ziemiach polskich.

W tej sytuacji zdaniem piszącego należą:

1) Jak najszybciej objąć ewidencją istniejące jeszcze wiejskie obiekty przemysłowe i w miarę możliwości opublikować ich listę;

2) Zainteresować akcją ochrony wszelkie władze i instytucje naukowe;

3) Uruchomić nieczynne, a nadające się do eksploatacji obiekty, mając na uwadze nie tylko względy kulturalne, ale także i ekonomiczne;



1. Nie istniejący już dziś młyn wodny w Drutarni na rzece Małapanew (w pow. lublinieckim).

2. Schemat założenia młyna wodnego: A — jaz, B — młynówka, C — główny nurt rzeki.

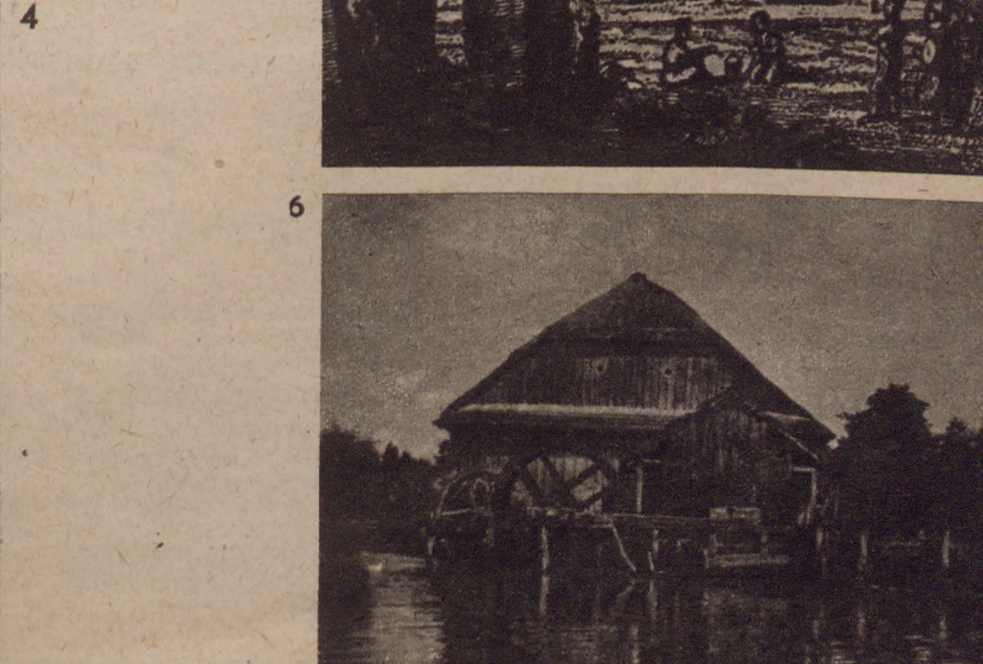
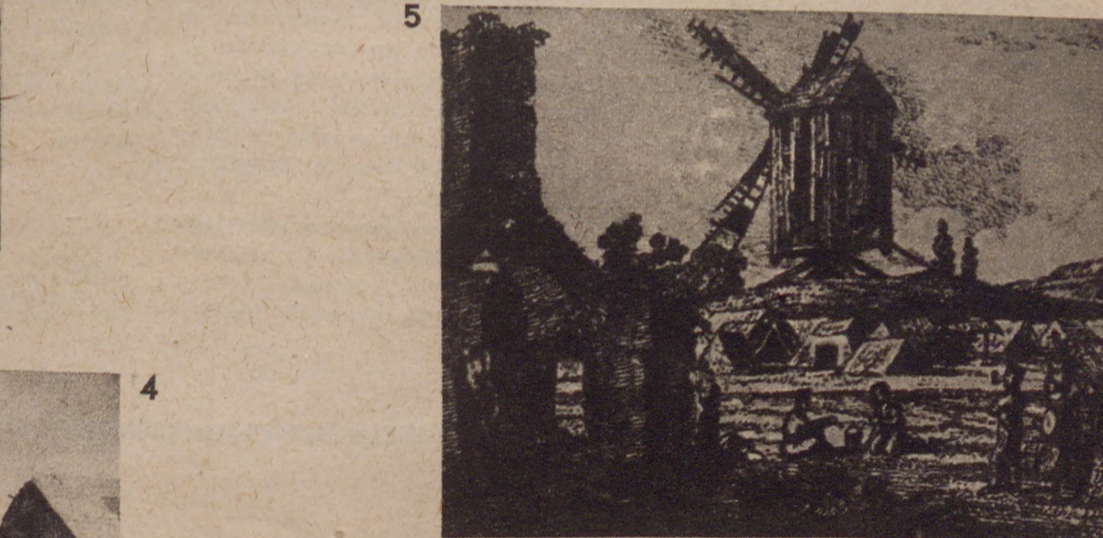
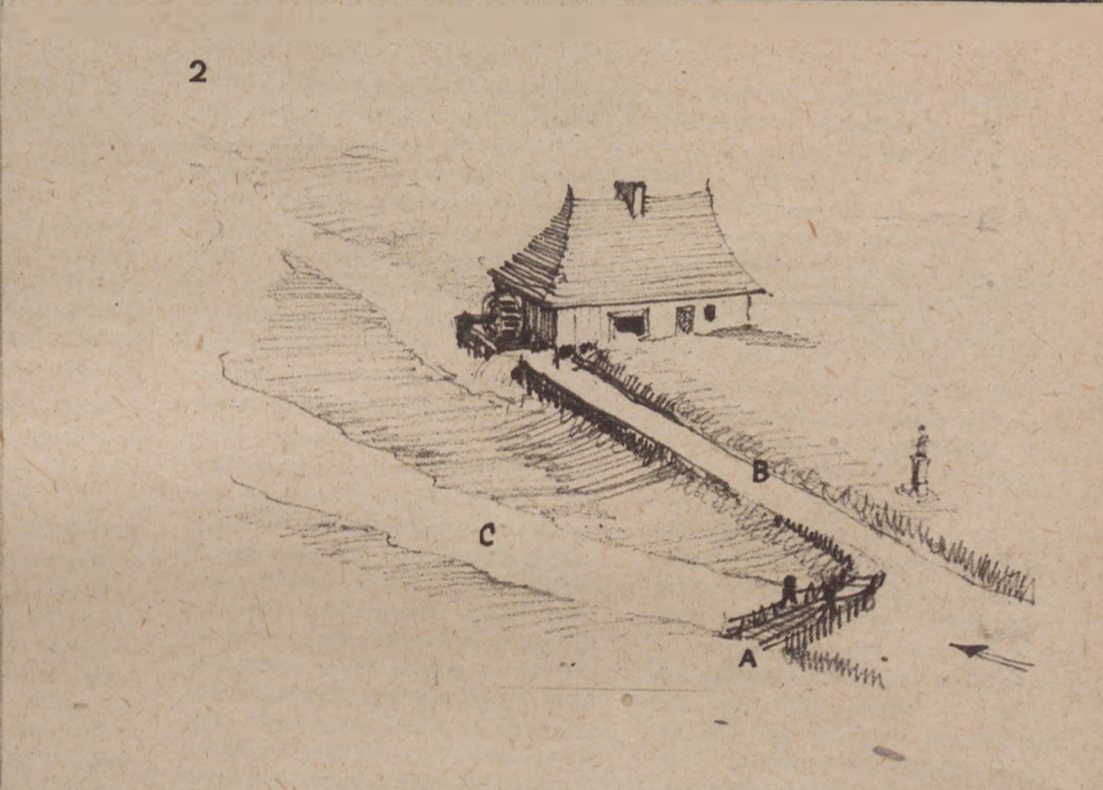
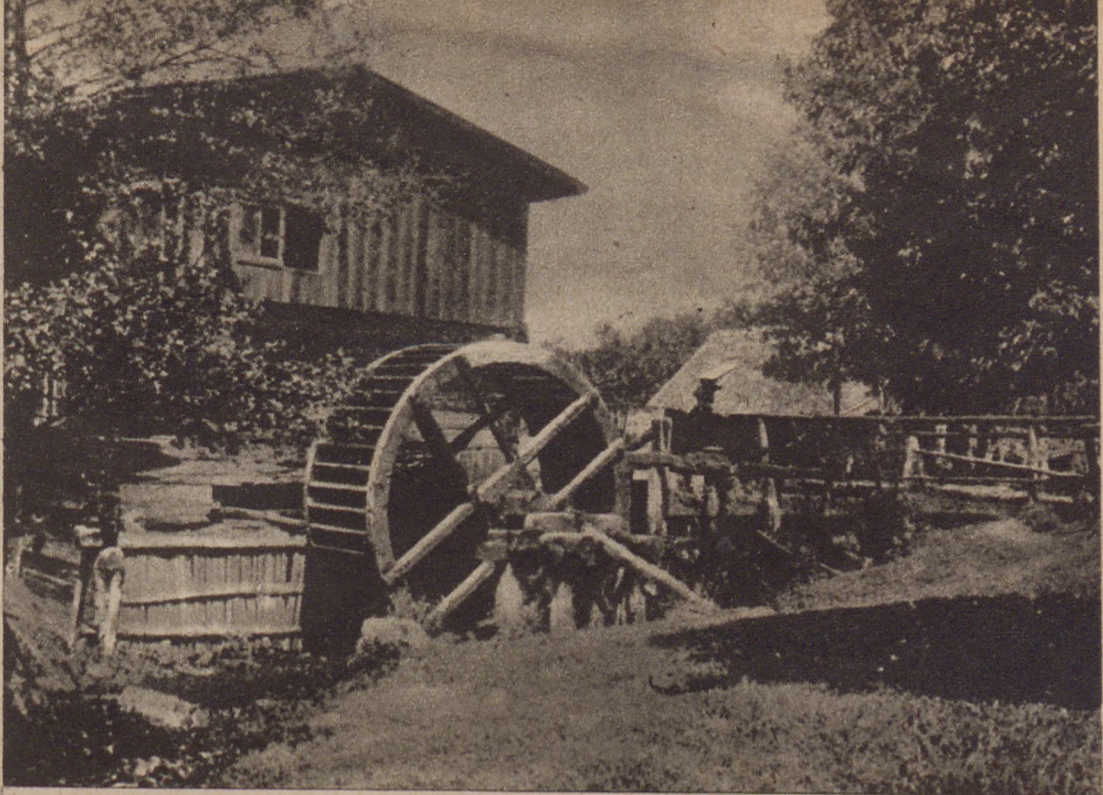
3. Nie istniejący już wiatrak czerpalny w Ostaszewie na Żuławach. Urządzenia te nie służyły do mielenia ziarna, lecz do celów irygacyjnych. Dzisiaj zachował się tylko jeden taki wia-

trak na terenie skansenu w Oliwie.

4. Spalony w czasie wojny młyn wodny w Pińczowie. Koło poruszała woda ze studni artezyjskiej. Fot. B. Kulka

5. Wiatrak na Pradze (tej warszawskiej!) wg rysunku Kielesińskiego, w r. 1831.

6. Nie istniejący (typowy dla nizin) młyn wodny na rzece Szreniawie w Piławowicach (pow. proszowicki).





4) Wstrzymać wszelką akcję rozbiorczą, przewidzieć wybrane obiekty do odbudowy względnie do przeniesienia do odpowiednich skansenów.

Nie można wreszcie dopuścić, aby jakikolwiek cenny z punktu widzenia naukowego zabytek uległ zni-

szczeniu lub rozbiorce bez wykonania odpowiedniej jego dokumentacji. Decydującym kryterium określającym charakter zabytkowy obiektu przemysłowego winny być w pierwszym rzędzie względy techniczne. Tym samym, nawet obiekty stosunkowo nowszej daty, wznie-

sione w oparciu o dawne tradycje, winny być objęte ochroną. A więc, np. młyn mielący przy pomocy wałców, lecz napędzany kołami wodnymi — posiada znaczenie zabytku. Podobnie za obiekt zabytkowy winien być uznany każdy wiatrak dawnego typu.

MARIAN KORNECKI



Wykonany w 1840 roku sukmanek (szczegóły w tekście) ze wsi Bąków w pow. łowickim.

## RECENZJE

### NOTATKI PŁOCKIE<sup>1</sup>

Niedawno zawiązana Komisja Badań nad powstaniem i rozwojem Płocka zainicjowała szeroko zakrojony program regionalnych badań kompleksowych dotyczących Mazowsza Płockiego. Inicjatywę Komisji podjął szereg ośrodków naukowych zainteresowanych problematyką Płocka; m. in. Instytut Historii Kultury Materialnej PAN przystąpił do badań archeologicznych, Katedra Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej zapoczątkowała inwentaryzację zabytków architektonicznych Płocka, Zakład Źródłoznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego podjął pracę nad przygotowaniem źródeł historycznych regionu, Zakład Antropologiczny tegoż Uniwersytetu rozpoczął badania w swym zakresie. Dalsze kontakty nawiązane z innymi zakładami oraz naukowcami dały już również poważne osiągnięcia naukowe. Również cenna okazała się współpraca wielu badaczy miejscowych, często przedtem nieznanymi, którzy w miarę swoich możliwości, wielkiego zapału i zamiłowania przyczyniają się do pomnożenia wiedzy o swym regionie.

Częściowym podsumowaniem rezultatów prac naukowych stała się dwudniowa konferencja sprawozdawczo-planująca badań regionu, zorganizowana przez IHKM PAN

i Komisję, która przyjęła rozmiary małej sesji naukowej poświęconej wiedzy o Płocku. Konkretne osiągnięcia naukowe, cenne ożywienie ruchu umysłowego, którego przedmiotem stało się jedno z najstarszych miast polskich — to plony podjętej inicjatywy.

Organem Komisji, a zarazem czasopiśmem, na którego łamach opublikowano szereg wartościowych artykułów i przyczynków dotyczących regionu — stały się „Notatki Płockie”, których trzeci i czwarty numer ukazał się niedawno. W poprzednim numerze m. in. zwracają uwagę prace, np. „O pochodzeniu nazwy Płock” (Maria Kieffer), „Masław Książę Mazowiecki” (Barbara Krzemińska-Surowiecka), „Czepiny płockie” (Jadwiga Gorzechowska — rzecz o regionalnych obrzędach weselnych), „O nazwie Mazowsza” (Jan Kowalewski), „Zawołania handlowe w Płocku” (Kazimierz Askanas), „Z dziejów ruchu muzycznego w Płocku” (Janina Kuczevska). Cenną pozycją jest publikowana w „Notatkach” bibliografia Mazowsza Płockiego, a także artykuł o działalności Komisji Ochrony Zabytków PTTK w Płocku.

Ostatni numer przynosi materiały naukowe, opublikowane na niedawnej konferencji. „Powstanie i rozwój miasta” — (Ryszard Cieśla),

„Wyniki badań archeologicznych w Płocku w r. 1956” (Jerzy Gąssowski), „Sprawozdanie z inwentaryzacji architektonicznej” (Zdzisław Tomaszewski), „Zagadnienia badań regionalnych w Płocku” (Kazimierz Askanas), „Dotychczasowy stan badań antropologicznych regionu płockiego” (Ireneusz Michalski), to ciekawsze tematy, omawiające najnowsze wyniki prac i badań.

Szata zewnętrzna pisma poważna i staranna, nawiązuje swym wyglądem do wielu tego rodzaju czasopiśm i biuletynów o charakterze naukowym czy popularnonaukowym.

Wydawnictwo bardzo pożyteczne, stanowi cenną pozycję, ważną nie tylko dla społeczeństwa płockiego, zbierając obfite i gruntowne materiały dotyczące miasta i regionu, lecz także dla historyka, etnografa, archeologa, czy każdego warsztatu naukowego, zainteresowanego poruszonymi tematami. Przykład tego rodzaju ożywienia ruchu umysłowego i powołania odpowiedniej publikacji — dla innych miast i regionów Polski — w pełni godny naśladowania.

(MK)

<sup>1</sup> „Notatki Płockie” — Biuletyn Komisji Badań nad powstaniem i rozwojem Płocka, Wydawca: Komisja Badań..., Płock, Plac Narutowicza 8, nakład 1.000 egz.



(powyżej) Tył tołubka z r. 1860 ze wsi Bąków, poniżej — tył innego tołubka.

Fot. Stefan Deptuszewski.



## MAŁY NIEPORZĄDEK

panuje u nas — zdaniem p. Mirosława Sowy z Wrocławia — w dziedzinie wydawnictw turystyczno-krajoznawczych, szczególnie zaś literatury przewodnikowej. Oto co pisze on na ten temat:

Przewodniki są wydawane w bardzo różnej formie, w różnej szacie graficznej i w różnym układzie treści. Wydaje się na ogół przewodniki rejonów atrakcyjnych i bardziej uczęszczanych. Nasuwa się pytanie:

czy nie można wydać biblioteczki turystyczno-krajoznawczej obejmującej całą Polskę (oczywiście nie należy tego rozumieć kilometr za kilometr). W jednakowym formacie, w jednakowej szacie graficznej i w ujednoczonym układzie treści. Redakcja ZIEMI wspólnie z wydawnictwem Sport i Turystyka mogłaby wśród swoich czytelników rozpisnąć subskrypcję biblioteczki. Zapewniłoby to zbyt przewodników

mniej uczęszczanych rejonów. Można dużo przewodników wznowić po pewnym przerobieniu i zaktualizowaniu (podanie nowych schronisk, szlaków, zwiększenie treści krajoznawczej) oraz, co uważam za bardzo ważne, umieszczenie możliwie dokładnych mapek omawianych rejonów, tak jak to jest stosowane w przewodnikach wodnych.

Mirosław Sowa  
Wrocław



# TOŁUBEK I SUKMANEK

Przy identyfikowaniu poszczególnych części stroju łowickiego znajdujących się w zbiorach Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, natrafiłam na trzy ciekawe okazy, dotychczas jeszcze nie publikowane. Skłoniło mnie to do opracowania krótkiej notatki opisowej, uzupełniającej *Strój łowicki* J. Świątkowskiej<sup>1</sup>. Chodzi mi tutaj mianowicie o kobiecy „tołubek” oraz o jedną z męskich sukman (wymienioną przez autorkę w punkcie 1 na str. 19 przy szczegółowym opisie. Autorka wspomnianej pracy mówi wprawdzie o tych częściach stroju, widocznie jednak nie dysponowała odpowiednim materiałem i powtarzając za A. Chmielińską (*Księżacy i ich strój*) pominęła ich dosyć charakterystyczne cechy; przy opisie zaś „tołubka” wkradły się u niej pewne nieścisłości, które eksponaty naszego muzeum pozwalają mi skorygować.

Autorka *Stroju łowickiego* nie podając o nim bliższych szczegółów, pisze, że „tołubki” były „bez fałd w tyle”. Stwierdzenie to nie jest ściśle. W muzeum bytomskim znajdują się dwa eksponaty tego rodzaju i różnią się nieco między sobą krojem oraz kolorem materiału.

Pierwszy uszyty jest z fabrycznego czarnego sukna na wacie i flanelowej podszewce. Całość skrojona w ten sposób, że przody dość szerokie przechodzą ku tyłowi, gdzie z plecami łączą się dwoma symetrycznymi szwami. Plecy w pasie są odcinane; tylna część dołu uszyta jest z prostokątnego płatu układanego w fałdy. Rękawy proste, nieco zwężające się ku dołowi, kołnierz nieduży wykładany z klapkami. Zapięcie stanowią dwie pary haftek przesyte górą jedna pod drugą w odstępnie 9 cm, nieco poniżej klap kołnierza. Całość uszyta na maszynie tak samo, jak i drugi tołubek, wykonany w 1860 r. z fabrycznego granatowego sukna na wacie i podszewce. Ten drugi „tołubek” w kroju różni się tym od poprzedniego, że nie tylko plecy, ale i przody są w nim odcinane, nadto plecy oprócz dwu szwów symetrycznych zeszyte są na środku. Dół „tołubka” uszyty jest natomiast z trzech części i marszczony w pasie. Tutaj okrągły kołnierz, mankiety i pasek oraz naszywane z przodu zęby wykonano z ciemnozielonego aksamitu. Pasek zapina się na dużą mosiężną haftkę. Przy poprzednim „tołubku” paska brak, chociaż stara karta inwentarzowa z przedwojennego Muzeum Śląskiego w Katowicach, z którego eksponat pochodzi, informuje, że „tołubek” ten miał przszyty w pasie zielony aksamitny pasek z białymi guziczkami. Rzeczywiście na „tołubku” widać ślady przyszycia.

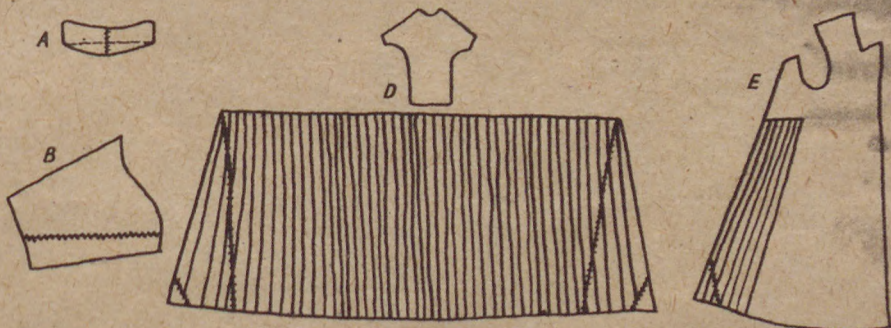
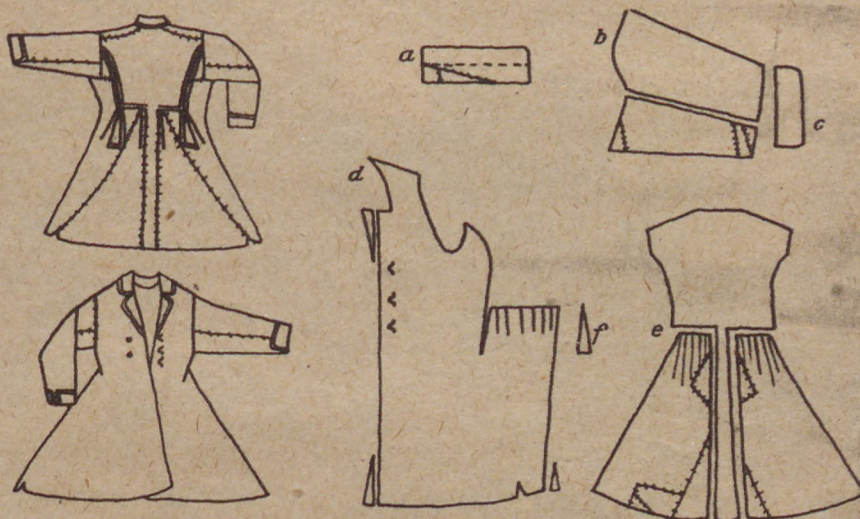
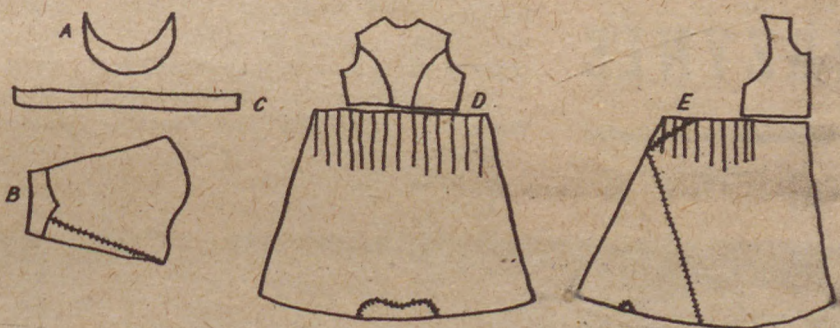
Znajdująca się w muzeum sukmana „siwa” czyli tzw. „sukmanek” pochodzi z 1840 r. Uszyta ją z cienkiego sukna samodziałowego w kolorze zielonkawoniebieskim, na podszewce lnianej. Informację J. Świątkowskiej uzupełniam w tym wypadku podaniem kroju i fotografii.

Barbara Bazieliówna



Przód tołubka wykonanego w r. 1860 we wsi Bąków w pow. łowickim.

Rysunek u góry przedstawia rozłożony na elementy składowe tołubek. A — kołnierz, B — rękaw, C — pasek, D — tył, E — przód. Rysunek dolny przedstawia również krój tołubka. Rysunek środkowy — sukmanka stroju męskiego. A — kołnierz, B — rękaw, C — mankiety, E — tył, F — kieszeń.



<sup>1</sup> Wyd. w Atlasie Polskich Strojów Ludowych w 1953 r.





## DAWNE POCZTY POLSKIE

## KRADZIEŻ W ŻYRZYNIE

Rok 1860. Warszawa otrzymała pierwsze połączenie kolejowe z Zagłębiem Dąbrowskim i Górnym Śląskiem. W budowie znajdowała się druga ważna linia kolejowa prowadząca od Skierniewic, przez Łowicz do Torunia i Bydgoszczy.

W całym jednak kraju wciąż jeszcze dominującym i właściwie jedynym środkiem komunikacyjnym były dyliżanse pocztowe i „extrapocztę”. Podróż „extrapocztą” polegała na wynajmie od Stacji Pocztowej pojazdu konnego i „pocztyliona” odwożącego podróżnego do następnej stacji. Zamożniejsi podróżowali własnym „ekwipażem” — wynajmując tylko konie. Z tego ostatniego sposobu korzystali nawet najbogatsi. Nawet sam „J. O. Książę Namiestnik” tak podróżował.

Z pozostałych zapisków i lektury wydawanego periodycznie „Cyrkularza Zarządu Poczтового Królestwa Polskiego” wynika, że sprawność organizacji pocztowej w tym okresie była zadawalająca a w niektórych przypadkach — nawet w porównaniu z dzisiejszymi stosunkami — wręcz zadziwiająca. Zdarzyło się np. że podróżny został okradziony. Rzecz przecież niezbyt wyjątkowa. O sprawności organów pocztowych świadczyć może fakt, że w ciągu 12 dni potrafiiono przeprowadzić śledztwo i co więcej, wydać specjalny numer „Cyrkularza”, w którym opisany jest wypadek i w którym poleca się dalsze poszukiwanie sprawców kradzieży i rzeczy ukradzionych. Oto co pisze taki „Cyrkularz” z dnia 14 marca 1860 r. „Przejeżdżający z Lublina do Warszawy extrapocztą Wny Wieczfi-

ński przybywszy na Stacją Pocztową w Żyrzynie w dniu 2 (14) marca r.b. o godzinie 8 wieczorem, zażądał, aby mu dano konie z sankami do następnej Stacji i aby po przełożeniu jego rzeczy, pocztylion zajął przed oberżę znajdującą się naprzeciwko poczty, sam zaś do takowej udał się dla wypicia herbaty.

Po przełożeniu więc rzeczy podróżnego, składających się z walizki i tłómoka, z sań Stacji Pocztovej w Kurowie na sanie miejscowego pocztalera, pocztylion Wójcik zajął przed pomienioną oberżę i zostawiwszy konie z saniami i z włożonymi na nie rzeczami, wszedł do tej oberży. W trakcie tego nie wysłedzeni dotąd złoczyńcy, korzystając z nieroztropności pocztyliona, skradli konie z saniami i znajdującymi się w nich rzeczami i ujechali niewiadomo dokąd.

Po otrzymaniu o tem wiadomości, wydelegowany natychmiast przez Zarząd Okręgu Pocztovej Inspektor Poczty, celem wysłedzenia sprawców kradzieży, pomimo wszelkich usiłowań i najściślejszych poszukiwań w Żyrzynie i okolicach przy pomocy ze strony Władz Administracyjnych, nie zdołał wykryć takowych, lecz tylko w bliskości Żyrzyna znalezione zostały w lesie porzucone próżne sanie.

Zawiadamiając o powyższym wypadku i dołączając przy niniejszym szczegóły wykaz skradzionych rzeczy, Zarząd Okręgu Pocztovej poleca Urzędom, Ekspedycjom i Stacjom Pocztowym, podać o tem do wiadomości najbliższej Władzy Administracyjnopolicijnej z wezwa-

niem zarządzenia jak najściślejszego poszukiwania jak skradzionych rzeczy, jak niemniej wykrycia sprawców kradzieży, oraz dołączyć ze swej strony wszelkich starań w tym przedmiocie. W razie zaś wykrycia się jakichkolwiek poszlak powyższej kradzieży bezzwłocznie szczegółowo o tem Zarządowi Pocztowowemu donieść należy“.

Dalej następują odpowiednie pouczenia co należy zrobić, aby w przyszłości wypadki takie nie mogły się zdarzać.

Nie wiadomo, czy rzeczy skradzione znaleziono, a sprawców wykryto, ale wydaje się, że dziś — po stu latach — stopień troski o pasażera ówczesnych poczt mógłby być wzorem i przykładem dla PKP czy PKS.

Ciekawe światło na ówczesne obyczaje i stosunki rzuca spis skradzionych Wieczfińskiemu rzeczy. Co też to musiał ówczesny podróżny zabierać z sobą na dłuższy zapewne pobyt w Warszawie! Oto wykaz:

Burnus duży ciepły syberyjowy, salopa sukienna czarna na wacie pikowana, okryta atłasem, burnusik letni czarny sukienny z kapiszonem z ubraniem *à la vielle*, mantylka mantynowa z aksamitkami i frendzlą, chusta kaszmirowa, chustka siatkowa, suknia popelinowa, suknia czarna mantynowa, suknia wełniana, szlafrok biały mantynowy, suknia płócienna z dużą peleryną, spódniczka biała muślinowa, koszul damskich dziennych 11, 6 koszul nocnych, 8 prześcieradeł, 6 poszewek, 12 chustek do nosa, 3 chustki batystowe, 11 par pończoch, 5 spódnic gładkich, 18 ręczników, 10 ko-





szul męskich webowych i pikowych, 3 koszule nocne, 8 par skarpetek, 9 chustek do nosa męskich, frak czarny, surdut kortowy, 2 pary pantalonów, 2 kamizelki atłasowe, 3 krawaty materiałne, szal męski, lama srebrna na ornat, materia sta-  
 roświecka na kapę kościelną, 30

łokci prawdziwie srebrnych galonów, pugilares do pisania, zegarek złoty, szpila z granatów, 5 bransoletek, medalion złoty, guziki perłowe, tabakierka złota, szczotka srebrna, sztuciec srebrny, 2 zwierciadła składane, nesoser safianowy, wizerunek królowej angielskiej, foto-

grafie i dagerotypy, książki, kołdra włóczkowa, różne zaczęte roboty ręczne, telka do kościoła, 8 łokci siatki, 8 łokci perkalu, 4 łokcie fu-  
 laru, mitynki paryskie, 20 kołnierzyków i rękawków, pudełko z kapeluszami, buciki damskie, prunelowe, kalosze, 2 pary bucików mę-

skich, futro baranie na nogi, dywan“.

Wszystko spakowane w jednej walizie i jednym tłumoku! Niemała to musiała być waliza i tęgi tłumok.

Nadesał  
 Marian Madeyski

# NOWE OSUWISKO W BESKIDZIE NISKIM

JERZY POKORNY



Powyżej miejsca, gdzie masy skalne osuwiska oderwały się od zbocza, powstały głębokie szczeliny.

(obok) Szkic sytuacyjny osuwiska w Lipowicy.

(z prawej) Ściana skalna w niszy osuwiskowej koło Lipowicy ma kilkanaście metrów wysokości.

Zdjęcia Jerzy Pokorny.



(rycina z lewej) XIX-wieczne malowidło przedstawiające ówczesny zajazd i dyliżans pocztowy.

Rankiem dnia 13 maja 1957 r. robotnicy, pracujący w kamieniołomie koło wsi Lipowica, usłyszeli przybierający na sile odgłos spadających kamieni. Wkrótce dźwięk ten przeszedł w donośny huk i olbrzymie masy skalne, ważące kilkaset tysięcy ton, ruszyły w dół zbocza. Zjawisku temu towarzyszył trzask rozrywanych korzeni drzew i syk rozdzieranej darni.

Okoliczna ludność obserwowała z przerażeniem, jak ogromne złomy skalne zsuwały się w stronę dna doliny. Głazy o średnicy kilku metrów, toczyły się, dudniąc, na drogę u podnóża zbocza i zatrzymały się tuż nad korytem przepływającej poniżej rzeki.

W miejscu gdzie skały oderwały się od zbocza powstała rozległa nisza. W jej części południowej utworzyła się wspaniała ściana skalna kilkunastometrowej wysokości. Sterczące z niej bloki piaskowca grożą w każdej chwili odpadnięciem, a mniejsze okruchy skalne odrywają się nawet przy głośniejszym okrzyku zwiedzających. U podnóża północnej części niszy odsłoniła się pochyłona ku południowi gładka powierzchnia ławicy łupków, po której osunęły się grube pokłady piaskowca, znacząc ślad swojej drogi równoległymi bruzdami.

Poniżej niszy osuwiskowej podłoże uległo silnemu spękaniu. Szata roślinna została zniszczona na dużej przestrzeni, a gliniasto-gruzowe masy zasypały część pobliskiego pola uprawnego. Tam, gdzie niedawno temu eksploatowano skały, czernieją wśród rumowiska resztki pogiętych szyn i wózki transportowe, zgniecione jak papierowe zabawki.

Opisane powyżej osuwisko powstało w odległości około 3 km na południe od Dukli w malowniczym przełomie rzeki Jasiołki przez pasmo Cergowej-Hyrowej, na lewym zboczu doliny. Pasma to zbudowane



jest z grubych ławic piaskowców i przecięte warstwą łupków. Ruchy trwały od godz. 7.30 do godz. 13-tej i poprzedzone były przeszło tydzień trającym okresem deszczów. W wyniku tych opadów porowate, nasiąkliwe ławice piaskowców uległy znacznemu obciążeniu. To było najprawdopodobniej przyczyną ich osunięcia się zgodnie z upadem warstw. Zsuwanie się piaskowców ułatwiła śliskość podścielających je łupków. Również i eksploatacja w kamieniołomie mogła mieć duży wpływ na powstanie osuwiska. Podcięła ona bowiem zbocze i rozluźniła spoiłość skał w wyniku ich rozsadzania.

Komunikacja na szosie Dukla—Barwinek, wiodącej dalej przez przełęcz Dukielską do Czechosłowacji uległa zupełnemu przerwaniu. Usunięcie z drogi wielkich bloków może pozbawić podparcia leżące powyżej masy skalne i spowodować dalsze ich ruchy. Także intensywne opady mogłyby wywołać nowe obciążenie pozbawionych równowagi bloków. W takim wypadku zachodzi obawa zasypania dna doliny. Mogłoby to nawet doprowadzić do chwilowego zatamowania rzeki i spiętrzenia jej wód. W związku z prawdopodobieństwem dalszych ruchów, należy zachować dużą ostrożność podczas zwiedzania zagrożonego obszaru.

Osuwiska są zjawiskiem stosunkowo częstym w tej partii Karpat. Sprzyja tutaj ich powstawaniu budowa geologiczna, obfite opady i roztopy, a w ostatnich czasach także i działalność człowieka, który coraz częściej narusza równowagę panującą w przyrodzie.



Oderwane od skał olbrzymie bloki stoczyły się na szosę duklańską, przyniatając także szynę i wózki kolejki kamieniołomu.

## Z DAWNYCH KRONIK I INNYCH ZABYTEKÓW PIŚMIENICTWA

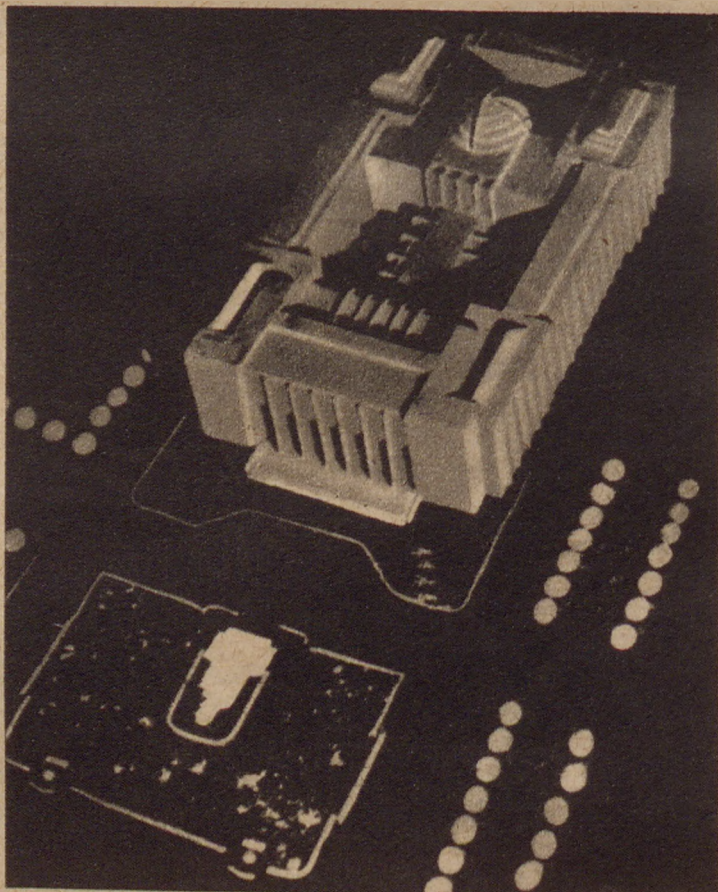
### „CAŁE HANDLU SKUPIENIE JEST W GDAŃSKU...”

„Całe [...] handlu [...] skupienie jest w Gdańsku, porcie nad morzem Bałtyckim, należącym do króla polskiego. W [...] sierpniu odbywa się tu wielki jarmark od św. Dominika czternaście dni i dłużej trwający, na który się zbierają Niemcy, Francuzi, Flamandowie, Anglicy, Hiszpanie, Portugalczycy i wtedy zawija do portu przeszło 400 okrętów naładowanych winem francuskim i hiszpańskim, jedwabiem, oliwą, cytrynami, konfiturami i innymi płodami hiszpańskimi, korzeniami portugalskimi, cyną i sukrem angielskim. Zastają w Gdańsku spichrze (i inne składy) pełne pszenicy, żyta i innego zboża, lnu, konopi, wosku, miodu, potażu, drewna do budowy, solonej wołowiny i innych drobniejszych rzeczy, którymi kupcy rozładowane swoje okręty napowrót ła-

dują, co się odbywa w pierwszych dniach jarmarku, a w ostatnich ośmiu i przez cały rok przybywają do tego miasta nie tylko kupcy krajowi, ale wiele innych osób dla opatrzenia swych sklepów lub domów w wino, sukna, korzenie i inne potrzebne rzeczy. Zboże zaś i inne płody, zbywające od potrzeb krajowych, spławiają do Gdańska na wiosnę i sprzedają hurtem kupcom gdańskim, którzy składają je w swych spichrzach na następny jarmark, a że oni tylko mogą prowadzić ten handel, są niezmiernie bogaci i nie masz miasta, z którego by król polski mógł mieć więcej pieniędzy”.

Z relacji nuncjusza apostolskiego u dworu polskiego, Juliusza Ruggieriego, z roku 1568.

Nadesłał Z. B.



## Z „DAWNEJ IKONOGRFII” MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Zamieszczona powyżej fotografia przedstawia model nowego gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie, wykonany według projektu, który swojego czasu na konkursie architektonicznym uzyskał I nagrodę. Projekt ten, po dokonaniu stosunkowo niewielkich zmian, został następnie zaakceptowany do realizacji.

„Sprawa wzniesienia nowego budynku dla odpowiedniego pomieszczenia zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, przeciągająca się czas

dłuższy, weszła w ubiegłym roku na realne tory, spotykając się z wielką ofiarnością publiczną na ten cel” — tak pisał Kalendarz I.K.C., publikując w dziale „Pochód kultury” reprodukowaną powyżej ilustrację. Było to w roku 1933...

Od tego czasu bardzo dużo zmieniło się w Krakowie. Sprawa wzniesienia nowego gmachu Muzeum Narodowego wcale nie straciła na aktualności, wręcz przeciwnie — ale rozpoczęta budowa przed laty

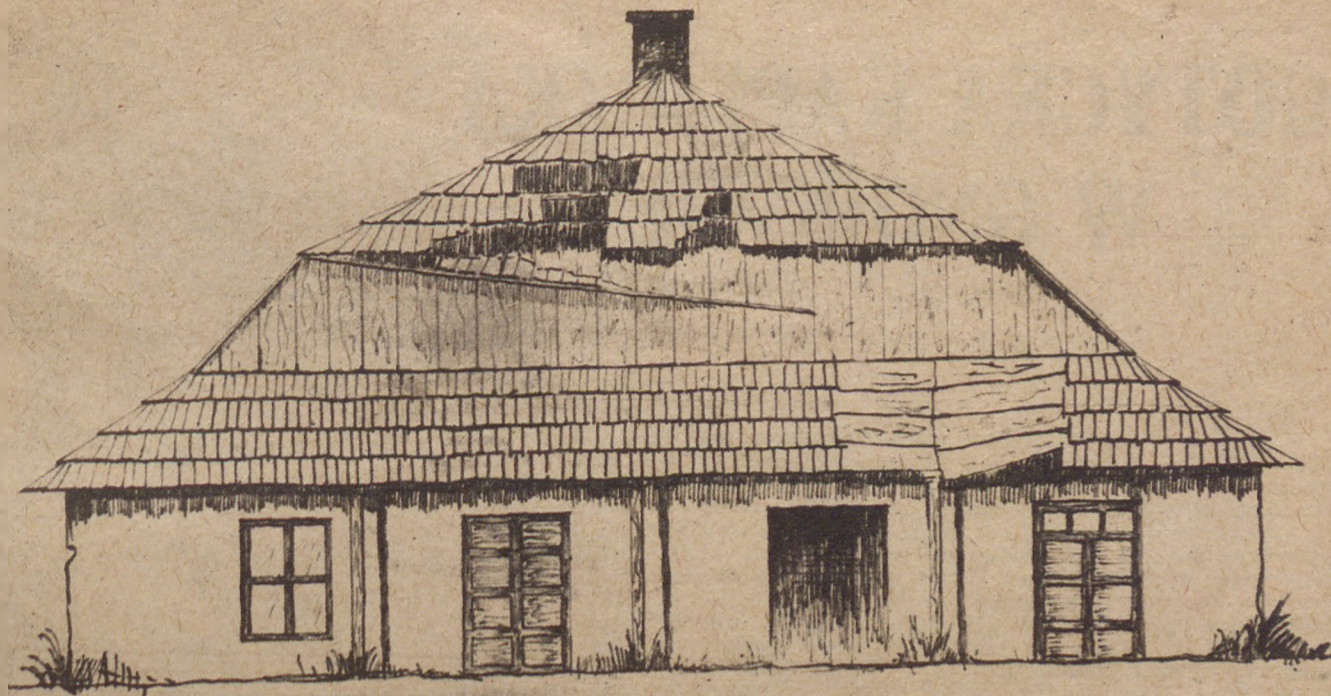
utknęła na martwym punkcie i nie ma takiej siły, która posunęłaby naprzód to ważne przedsięwzięcie. W ostatnich latach budowa włączona była do zadań Państwowego Planu Inwestycyjnego, jednakże ostatecznie z planu „wypadła”. W międzyczasie zaś otoczenie Muzeum uległo zasadniczym zmianom: wzniesienie gmachu Biblioteki Jagiellońskiej i regulacja alei Mickiewicza przekreśliły możliwości realizacji dawnego projektu.

Tak więc „pochód kultury” w zakresie muzealnictwa na terenie Krakowa od dawna uległ zahamowaniu i najcenniejsze zbiory sztuki po starciu przechowywane są w pakach, a tę część, którą można udostępnić do zwiedzania wystawia się w ciasnych lokalach, nie dających się dostosować w pełni do współczesnych wymogów ekspozycji muzealnej.

(A)



# ZAJAZD W JÓZEFOWIE ORDYNACKIM



**J**ózefów Ordynacki, osada miejska leżąca na granicy powiatu biłgorajskiego i zamojskiego, będąca niegdyś ciekawym zespołem budownictwa małomiasteczkowego straciła niedawno swój najciekawszy zabytek, który uniknął zniszczeń, jakie przyniosły tej miejscowości wojny światowe.

Przy ulicy wylotowej, w miejscu gdzie skręca ona w stronę traktu prowadzącego do Tomaszowa Lubelskiego, wzniesiony został prawdopodobnie w pierwszej połowie XIX wieku zajazd. Zbudowano go z miejscowego kamienia, gruboziarnistego piaskowca. Budynek wzniesiony na planie wydłużonego prostokąta usytuowano szczytem do drogi. Przez całą długość zajazdu przebiegała szeroka sień przejazdowa prowadząca do tzw. „stanu” — stajni i wozowni. Plan zabytku nie był jednak symetryczny. Sień odsunięta została z osi budynku dzieląc go na różnej szerokości pomieszczenia. Po prawej, zachodniej stronie zajazdu znajdowała się wielka izba, sięgająca od frontu budynku do stanu. Była to zapewne „szynkownia”. Lewa, wschodnia strona obiektu podzielona została na trzy pomieszczenia, w których znajdowały się zapewne: kuchnia, piec chlebowy i izba dla nocujących gości.

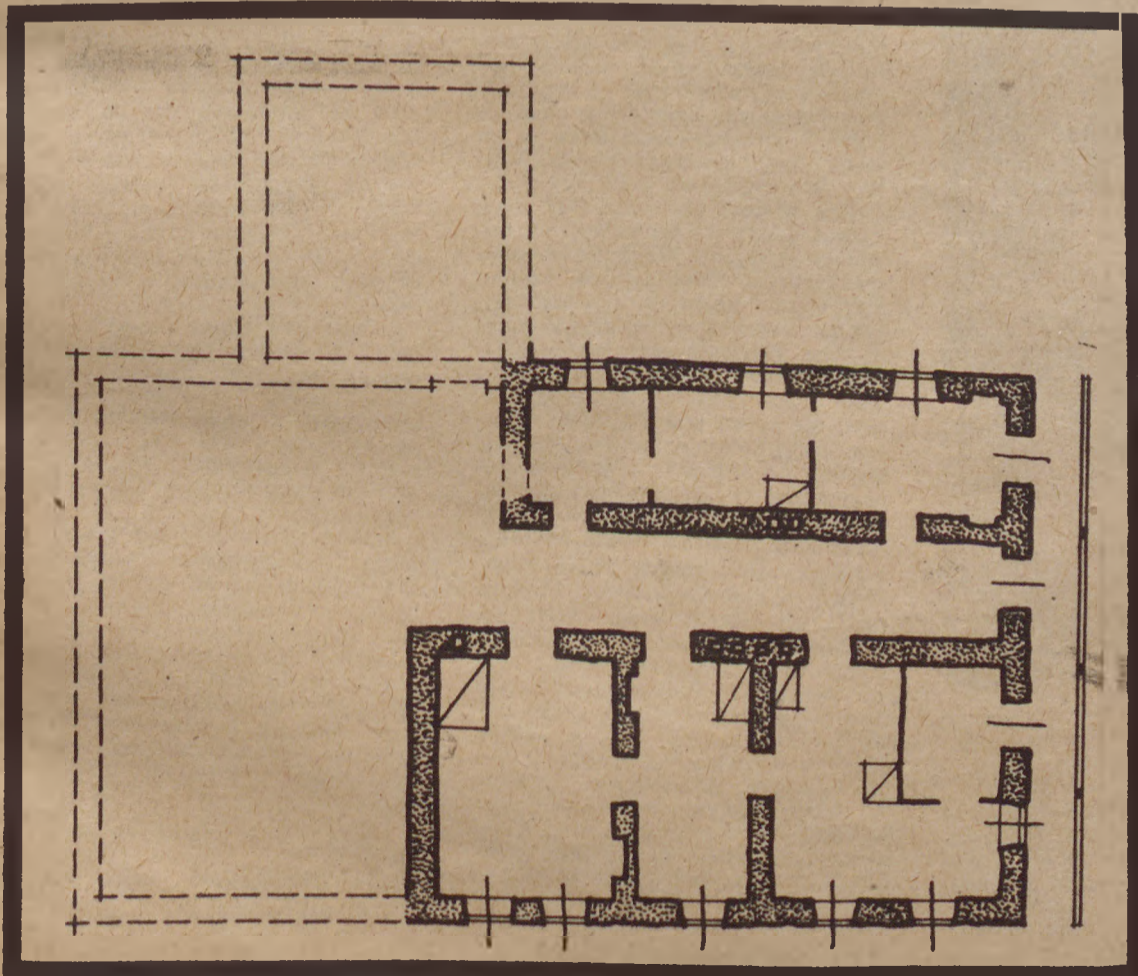
Całość nakryta była wysokim dachem naczółkowym pobitym gontem, wysuniętym przed frontową ścianą budynku, wspartym na pięciu drewnianych słupach.

Ślady fundamentów od strony zachodniej zajazdu wskazują, że znajdowała się tu przybudówka stanowiąca bądź drugi „stan” bądź jakiś podręczny składzik.

Z czasem dawny zajazd zmienił swe przeznaczenie. „Szynkownia” podzielona została ściankami działowymi na mniejsze pomieszczenia, w izbach frontowych znalazły miejsce sklepy, w tylnych — mieszkania. Zniszczenie zajazdu rozpoczęło się od „stanu”, który z chwilą zmiany użytkowania stracił swe uzasadnienie w budynku. Zajazd podupadał, opuszczany w miarę postępującego zniszczenia przez użytkowników. Gdy zdecydowano się przystąpić do adaptacji budynku na cele szkolne górne partie murów z porowatego kamienia były już kompletnie zniszczone, dach zaś zachował się jedynie nad częścią frontową.

W roku 1955 przeprowadzono niezgodnie z wytycznymi władz konserwatorskich roboty, podczas których rozebrano do fundamentów mury i wzniesiono na nowo, przedłużając budynek, zmieniając wykroje i rozmieszczenie otworów oraz podziały wnętrza. Doprowadziło to do zupełnego zatracenia walorów zabytkowych starego zajazdu.

MIECZYŚLAW KURZĄTKOWSKI



(u góry) Elewacja zajazdu w Józefowie Ordynackim.

(z prawej) Tak do niedawna wyglądał zdemastrowany obecnie zajazd.

(z lewej) Rzut poziomy zajazdu w Józefowie.



# GOTYCKA KAPLICZKA W GNOJEWIE

W połowie drogi z Tczewa do Malborka stoi w wiosce Gnojewo ostatnia na terenie Pomorza Gdańskiego gotycka kapliczka przydrożna. Kapliczek takich było niegdyś więcej: w Świeciu nad Wisłą, koło Lidzbarka, w Steblewie niedaleko Tczewa, prawdopodobnie także w pobliskim Szymankowie. Jednak żadna z nich już dzisiaj nie istnieje, znane są tylko z opisów, ilustracji i wzmianek. Kapliczka zachowana w Królewie Malborskim pochodzi już z początków XVI wieku i jedynie kształtem przypomina kapliczki gotyckie. Po kapliczce w Steblewie pozostały tylko cztery otaczające ją niegdyś stare drzewa.

Kapliczka w Gnojewie jest dość dużą budowlą ceglana o dwóch kondygnacjach. Dolna posiada niewielkie wnętrza, nakryte dawniej sklepieniem i otwarte na cztery strony prześwitami o różnych kształtach. Górna kondygnacja ma dużą niszę,

obecnie pustą. Ściany boczne tej kondygnacji zdobia wnęki-blendy, przy czym każda z nich jest inaczej zakończona. Blendy są wytynkowane na biało. Zachowały się ślady maswerków w tynku pokrywającym blendę wschodnią. Kapliczka powstała zapewne w połowie XV w.

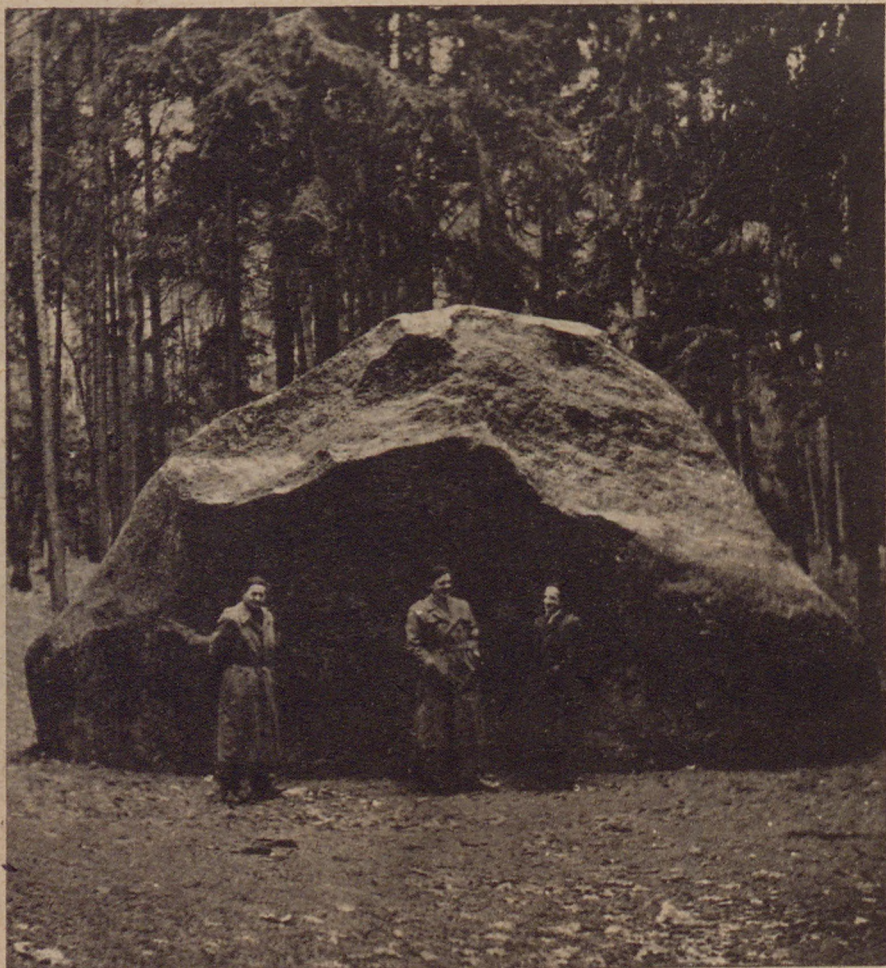
Ten niezmiernie rzadki i cenny zabytek sztuki gotyckiej na Żuławach Gdańskich jest od kilkunastu lat zupełnie zaniedbany. Kapliczce grozi zawalenie. Świadczą o tym potężne pęknięcia w obu kondygnacjach i brak tynku pomiędzy cegłami dolnej części. Żadne wzmianki prasowe nie wzbudziły zainteresowania zabytkiem, co jest tym dziwniejsze, że koszty naprawy byłyby minimalne. A szkoda, bo niedługo możemy być świadkami zniknięcia ostatniej gotyckiej kapliczki przydrożnej na terenie Pomorza Gdańskiego.

Jerzy Tukałło



Na zdjęciu widoczne daleko posunięte zniszczenie zabytkowej kapliczki: pomiędzy cegłami brak tynku, obie kondygnacje splekane.

Fot. J. Tukałło.



Fot. B. Woźniewski

Zdjęcie to nadesłał nam p. Tadeusz Vogel z Bydgoszczy z objaśnieniem, że przedstawia ono największy głaz narzutowy w Wielkopolsce. Znajduje się ten głaz na skrzyżowaniu leśnych dróg koło Gołuchowa (w okolicy Pleszewa) i znany tam jest pod nazwą „kamień św. Jadwigi”. Ma 22 metry obwodu, 8,5 m długości i 3,7 wysokości. Jest więc o połowę mniejszy od największego głazu narzutowego w Polsce, (w Tychowie koło Koszalina), który ma podobno 44 metry obwodu.

## Tatarzy pod Tarczkiem

Czytając jak zawsze z ogromnym zainteresowaniem miesięcznik „Ziemia” natrafiłem na notatkę o Tarczku w okolicach Bodzentyna. Notatka ta zawierająca zwięzły rys historyczny tej miejscowości w czasach średniowiecznych pomija bardzo ważny moment w jej dziejach. Pod Tarczkiem mianowicie stoczono jedną z poważniejszych bitew w historii średniowiecznej Polski. Była to bitwa rycerstwa polskiego z Tatarami w dniu 19 marca 1241 roku. Zanim doszło do tej bitwy, przebywający w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego dowódca tatarski Baidar, syn chana ulusu turkiestańskiego, przeprowadził dwie wyprawy zwiadowcze. Pierwsze rozpoznanie osiągnęło Lublin i Zawichost w początkach stycznia 1241. Drugie zakończyło się bitwą pod Turskiem Wielkim na południowy wschód od Staszowa. Dopiero po dokładnym zapoznaniu się z terenem i siłami przeciwnika przedsięwziął Baidar właściwe uderzenie na ziemie Polski.

Na początku marca jedna grupa Mongołów pod dowództwem Baidara miała od Sandmierza ruszyć na Kraków i dotrzeć do Wrocławia. Druga, dowodzona przez Kaidu, brata słynnego Batu-chana, miała przejść przez ziemię łęczycko-sieradzka. 18 marca 1241 r. grupa Baidara spotkała się z rycerstwem polskim pod Chmielnikiem. Doszło do bitwy. Dzięki manewrowi wypróbowanemu w poprzednich kampaniach, prowadzonych w Azji przez Dżyngis-chana, polegającemu na pozorowanej ucieczce grupy wojsk tatarskich i wprowadzeniu flankowym odwodów, bitwa pod Chmielnikiem, podobnie jak pod Turskiem Wielkim, zakończyła się rozerwaniem

i zepchnięciem sił polskich. Nie wiemy napewno czy w stoczonej nazajutrz bitwie pod Tarczkiem walczyła grupa rycerstwa odrzucona pod Chmielnikiem, czy też był to inny oddział Polaków, który się tu spotkał z grupą Kaidu wydzieloną z armii Baidara pod Sandmierzem. Podczas gdy po bitwie pod Chmielnikiem mimo przegranej wojsko polskie nie załamało się i — jak się przypuszcza — jedna grupa tegoż wojska zdołała się wycofać w stronę Krakowa, bitwa pod Tarczkiem zakończyła się klęską i straty po stronie polskiej były bardzo duże.

„...większa jednak część wojska polskiego w boju chwalebnie śmiała się za wiarę i ojczyznę poległa. Zginęli wtedy... młodzieńcy i rycerze dzielni z wielu innymi, którzy po bohatersku walczyli, a których męstwo i wytrwałość wszyscy Polacy wspominać i wysławiać powinni...”<sup>1</sup>

Śmierć ich jednak nie poszła na marne. Jak powiada historyk Stefan Krakowski<sup>2</sup>, za którym podaje niniejszą wzmiankę: „Wojska polskie zadały ciężkie straty nieprzyjacielowi, opóźniły pochód Tatarów ku południowi, umożliwiły koncentrację sił polskich na Śląsku, przygotowanie grodów do obrony, ucieczkę i schronienie się ludności wsi i osad w miejscach bezpiecznych.”

Stanisław Podrzycki

<sup>1</sup> Jan Długosz, Opera omnia, I—XIV, Kraków 1867—1873, w tym Historia Polski w t. X—XIV, tłumaczenie na język polski t. II—VI.

<sup>2</sup> Stefan Krakowski, „Polska w walce z najazdami tatarskimi w XIII wieku” wyd. MON.